



ODGŁOSY

► W RADOGOSKIM DWORZE — Zofia Lorentz ► KOBIETY MÓWIĄ... ► ROZWIĄZANIE — Karol Obidniak ► USŁUGI — Skok przez bariery ► KOBIETA — fotoreportaż W. Parysa ► GŁOSNE, ZAPOMNIANE KSIĄŻKI — Jerzy Wilmański ► LESZEK RÓZGA — Andrzej Grun ► KOBIETY W ŻYCIU LWA TOLSTOJA — Konrad Frejdlch ► WIĘZIENIE — Georges Simenon ► LISTY ► POLEMIKI ► RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► SEX W LITERATURZE ►

RYSZARD BINKOWSKI

DALEKO DO ZMIERZCHU

W okresie dwudziestolecia międzywojennego nic już nie zostało z dawnej świetności grodu, leżącego przy średniowiecznym szlaku wiodącym z Rusi na Śląsk, koło przeprawy przez Prosnę, któremu Henryk Pobożny nadał prawa miejskie jeszcze przed 1266 r.; niszczone przez wojny, nękany przez Prusaków BOLESŁAWIEC chylił się ku upadkowi.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego podupadła osada skupiała rzesze Żydów i robotników rolnych; za Prosną byli już Niemcy, przeto robotnicy polscy, za przepustką lub przez zieloną granicę, puszczali się na Saksy. Pierwsi wracali legalnie późną jesienią, drudzy odśladali trzy tygodnie kozy i też wracali, aby wspólnie przeczekać zimę i przejeść zarobione pieniądze. Wiosną historia się powtarzała...

W 1945 roku ścigający na zgłiszczą Bolesławca tłumy uchodźców i odgrzebawczy z popiołów wspomnienia tego, co odeszło na zawsze, odpłynęły na Zachód, gdzie była nowa Polska i ziemia czekała na gospodarzy.

Bolesławiec wyludnił się, dziś leży około tysiąca mieszkańców: rozdrobione podziałami spłachej płaszczystej ziemi wydoby gospodarstwa 0,5 i 1-hektarowe, przeto mężowie zostawili na nich żony, lub też odwrotnie, i poszli za chlebem do Kluczborka, do stolarni w Byczynie, Kępna, Wieruszowskiej „Wólcanki”, szwalni w Lubniewicach, wielu zaczęło się w bolesławieckiej tapierni.

Z dawnych czasów pozostały ruiny zamku, wzniesiony na palach młyn wodny, trójnawowy kościół barokowy i układ wąskich uliczek, z domami starymi i nowymi, otulonymi senną ciszą i płynącą z Prosną mgłą, bo takim zastałem Bolesławiec podczas mojej bytności: terazniejszość reprezentuje Wiejski Dom Kultury, knajpa „Pod Basią” i piękna szkoła Tysiąclecia im. PKWN, w której odnalazłem kobietę o szczupłej, bladej twarzy; aby ukryć zdenerwowanie, wzięła w drżące palce papierosa, zaciagała się nieumiejętnie i zalamującym się ze wzruszenia głosem, odmawiała mi o zamlu napienia o niej czegośkolwiek, gdyż, jak mówiła, jest wielu bohaterów, godniejszych takiego zaszczytu, a ponadto mogłaby ktoś wysnuć błędny wniosek, że ona celowo zwracała się do prasy z prośbą o pomoc w ogłoszeniu pewnych przykrości, jakie ją spotkały w życiu.

Być może postąpiłem nieuczciwie, obiecując, że pominię niektóre fakty, ale prawda jest, że ta kobieta nigdy nie prosiła mnie o pomoc. Nie mogłem się jednak oprzeć reporterskiej pokusie podjęcia tematu, gdyż życie tej sześćdziesięcioletniej nauczycielki jest od początku związane z Bolesławcem, z historią zachodzących w nim przemian, no i nie składa się z drobnych, mało znaczących epizodów, jak twierdziła Maria Rojek...

ZŁE DUCHY W JEZIORKU

Pytanie jest chyba niedyskretne, ale u was to tak jak na milicji, więc powiem, że ja, Maria Rojek, z domu Chmielewska, urodziłam się w roku 1916 w Bolesławcu. Dziadkowie posiadali duże gospodarstwo rolno-przemysłowe, ale dla mojego ojca pozostała już tylko ziemia i dość obszerny dom. Ojca, który był człowiekiem światłym i działaczem społecznym, m. in. współtwórcą Kasy Oszczędności w Bolesławcu, nie pamiętam, gdyż zginął w 1918 r. podczas rozbrajania Niemców, kiedy miałam dwa lata.

Tak więc ta śniona przez dziesiątki lat niepodległa Polska przyszła do naszego domu pogrzebem, lecz żal i smutek szarzały z wojna, tłumione radością wolności. Nie mogliśmy się skarżyć na biedę, choć w domu została matka z sześciorgiem dzieci; pięknie wspominałam dom mojego dzieciństwa, bo był to dom „oczytany”, pełen książek; kochała je matka, moje siostry, prawdziwie humanistki, jedna, już zmarła, znała na pamięć

Dalszy ciąg na str. 5



Fot. W. Parysa

PREZENTACJE

O MIROŚLAWIE WĄSOWICZ

Czytaj na str. 3

ANDRZEJ BLAJER

ANTOLOGIA ZAMACHÓW

Obersalzberg, 11 marca 1944 r. — dochodzi godzina dwunasta. Do kwatery Hitlera w „Berghofie” przybywa feldmarszałek Busch mianowany niedawno dowódcą grupy armii „Srodek”. Cel wizyty — omówienie z Hitlerem sytuacji na froncie wschodnim. Marszałkowi towarzyszą dwaj oficerowie — szef sztabu oraz adiutant, rotmistrz Breitenbuch. Przed gabinetem Hitlera czekała ich Keitel, Jodl i Goebbels. Rotmistrz Breitenbuch trzyma pod pachą aktówkę, w której, jak można przypuszczać, znajdują się materiały potrzebne marszałkowi do omówienia sytuacji. Lecz terazka wbrew pozorom, zawiera nie tylko dokumenty. Pomiędzy nimi znajduje się bowiem podłużna metalowa puszką, kształtem przypominająca granat, zaś w puszcze — silny ładunek wybuchowy z zapalnikiem czasowym. Wszyscy oczekują początku narady. Wreszcie drzwi sali konferencyjnej otwierają się, wy-

chodzi oficer w mundurze SS i zwraca się do oczekujących — „führer prosi panów do siebie”. Wechodzi kolejno Breitenbuch jako najniższy rangą idzie na koniec. Już jest przy drzwiach. W tym momencie SS-man pełniący wartę chwytą go za ramię i oświadcza, że otrzymał rozkaz nie wpuszczania adiutantów na dzisiejszą naradę. Breitenbuch protestuje, feldmarszałek Busch odwraca się i interweniuje, twierdząc, że obecność na naradzie jego adiutanta jest niezbędna. Bez rezultatu. Breitenbuch nie wchodzi już do sali. Negrowo spaceruje po hallu. Kolejna próba zgłędzenia Hitlera spełnia na niczym. Dlaczego?

Na temat opozycji antynazistowskiej w Niemczech i jej spiskowej działalności przeciwko Hitlerowi napisano już

(zwłaszcza na Zachodzie) całe tomy. Z prac tych — niejednokrotnie bardzo obszernych i starannie udokumentowanych — wynikałoby, że ilość zamachów na życie führera, jakie planowano dokonać, poczynając od 1933 r., sięga kilkudziesięciu. Przygotowywano je zarówno w Niemczech jak i poza ich granicami, tak w łonie opozycji lewicowej jak i konserwatywnej, prawicowej, czy generalistycznej. Efekt był jednak dość nikły, albowiem w latach 1933—1945 miały miejsce tylko dwa zamachy. Pierwszy nastąpił w listopadzie 1939 r. w Monachium, gdzie w „słynnej” piwiarni „Bürgerbräukeller” — dokąd Hitler przybywał co roku dla uczczenia kolejnej rocznicy „marszu na Feldherrnhalle” z 1923 r. — w jednym z filarów podtrzymujących sklepienie zamurowana silna ładunek wybuchowy z zapalnikiem wyposażonym w mechanizm zegarowy. Przypadek sprawił, że Hitler

zakończywszy swoje przemówienie nieco wcześniej niż zazwyczaj, opuścił piwiarnię wraz ze swoją świtą i udał się na dworzec. Eksplozja, jaka miała miejsce kilkanaście minut później, kompletnie spustoszyła wnętrze piwiarni, zabijając i raniąc wiele osób, ale nie osiągnęła niestety zamierzonego celu, zaś to zamachu do dziś nie zostało jeszcze w pełni wyjaśnione. Drugi zamach, który omal nie zakończył się powodzeniem, miał miejsce 20 lipca 1944 r. w głównej kwaterze Hitlera w Kętrzynie. Grupa niemieckich wojskowych i polityków zamierzała w ten sposób usunąć führera i objąć władzę drogą wojskowego zamachu stanu. W tym wypadku chodziło zresztą — jak doskonale wiadomo — o próbę zastąpienia reżimu hitlerowskiego rządem złożonym z ludzi ściśle związanych z kapitałem monopolistycznym oraz wojskowych, którzy się dotąd zbyt nie skompromitowali współpracą z nazistowskim aparatem władzy. Lecz skoro oba te zamachy oraz przygotowania do szeregu innych spaliły na panewce, musi wyłonić się owo postawione już na wstępie pytanie — dlaczego tak się stało?

Przyczyn było kilka. Po pierwsze należy uwzględnić specyfikę niemieckiego ruchu oporu, tak w aspekcie jego moralnej siły jak i politycznej słabości, a także warunki w których ów ruch oporu działał. Należy również pamiętać, że

HISTORIA

Jednym z celów systemu politycznego Trzeciej Rzeszy było rozdzielenie do maksimum więzi między ludzkich przez wytworzenie atmosfery strachu i terroru. Dążono w ten sposób do całkowitego wyizolowania jednostki ze społeczeństwa, które stało by się jedynie zbiorowiskiem ludzi, całkowicie posłusznym aparatowi władzy i ślepo wykonującym jego polecenia. Nie darmo jedno z hasel reżimu głosiło: „Du bist nichts, dein Volk ist alles” (Jesteś niczym, twój naród jest wszystkim). Po drugie opozycja prawicowa i konserwatywna miała znacznie większe pole działania niż lewicowa, a zwłaszcza komunistyczna, której możliwości oddziaływania na masy robotnicze były praktycznie ograniczone do minimum. Celem zaś owej konserwatywnej opozycji był przede wszystkim interes własny warstw społecznych, które reprezentowała, a więc burżuazji i arystokracji, a nie los narodu niemieckiego jako całości. Nawiasem mówiąc głównym jej dążeniem było usunięcie Hitlera i pewnej liczby promi-

Dalszy ciąg na str. 4

AKCES ŁODZI

Tak najbardziej lapidarnie można określić efekt ogólnolódzkiego spotkania aktywu partyjnego i społecznego w dniu 28 lutego, w Teatrze Wielkim. Akces klasy robotniczej, wszystkich ludzi pracy i mieszkańców Łodzi do wielkiej, narodowej sprawy — Czynu XXX-lecia Polski Ludowej. Spotkanie ponad 1200-osobowej rzeszy aktywu było ponadto inauguracją obchodów jubileuszowych w naszym mieście.

I sekretarz KL PZPR tow. BOLESŁAW KOPERSKI w swoim przemówieniu, nawiązując do tez uchwalonych przez XIII Plenum KC PZPR, przedstawił dorobek minionego okresu, szczególną złożoność drogi jaką ma za sobą społeczeństwo naszego miasta, jego materialny i kulturowy awans w trzydziście lat. Była to jednocześnie okazja do pokreślenia wielkiego dynamizmu cechującego nasze działania w ostatnim okresie, pozwalające śmiało i z uzasadnionym optymizmem patrzeć w przyszłość.

Taki też charakter będą miały jubileuszowe obchody w naszym

mieście i w całym kraju. Bez odświętnej euforii, lecz w atmosferze wytężonej pracy i uważnej, wnikliwej refleksji nad przeżytą drogą, nauki z sumy doświadczeń. Zgodnie z myślą Edwarda Gierka, która patronowała spotkaniu, że... TYLKO SOLIDNA PRACA JEST ŹRÓDŁEM SIŁY POLSKI I DOBRBYTU NASZEGO NARODU. I nie będzie przesadą w sformułowaniu, że takie przeświadczenie stało się w naszym społeczeństwie powszechne, znalazło potwierdzenie w materialnych efektach i, co nie mniej ważne, w osobistym odczuciu każdego człowieka pracy.

Czym Łódź wita XXX-lecie Polski Ludowej? Do dnia narażdy 145 zakładów podjęło zobowiązania o wartości ok. 800 mln zł, z czego 400 mln to dodatkowo produkcja poszukiwanych artykułów przeznaczonych dla krajowego rynku. Na eksport zostanie wyprodukowane towarów o 40 mln zł więcej niż planowano. Łódzka gospodarka z tytułu oszczędności surowca uzyska ok. 100 mln zł, co jest szczególnie cennym zobowią-

nieniem wobec trudnej sytuacji na światowym rynku surowcowym. Stało się już dobrą, łódzką zwyczajem skracanie cykli inwestycyjnych, przedterminowe przekazywanie do eksploatacji budowanych zakładów. W roku trzydziestolecia ta zasada będzie kontynuowana. Wcześniej ruszą m.in. dalsze oddziały kombinatu „Teofilów”, „Dywilan”. Teksturownia i wiele innych zakładów, co pozwoli na uzyskanie ponadplanowej produkcji wartości ponad dwa miliardy zł. Do tej listy zobowiązań, zapewne jeszcze nie pełnej, należy dodać wartości czynów społecznych, które zostały już i są nadal podejmowane — pracy na rzecz miasta, dzielnicy, osiedla, zakładu.

O tym jaki będzie wkład poszczególnych środowisk, dzielnic, zakładów pracy mówiło w swych wystąpieniach wielu towarzyszy. Na trybunie stawali przedstawiciele wszystkich pokoleń, środowisk i zawodów. Włókniarz, murarz i profesor, działacz związkowy i sportowiec — olimpijczyk, weterani

pracy i walki i młodzież. Było coś z prostego, ale jakże wymownego i pięknego symbolu, kiedy przemawiała WANDA GOS-CIMINSKA, Budowniczy Polski Ludowej, jedna z inicjatorek powojennego ruchu współzawodniczenia pracy, a w jakiś czas później ZOFIA MILCZARSKA i KRYSZYNA MIKICIUK, dziewczęta w czerwonych krawatach, aktywistki ZMS.

Atmosfera spotkania była podniosła, powagą świadomości przystępowania do ważnego zadania, jakim będzie to kolejne dziesięciolecie naszej ludowej Ojczyzny. Naturalnie z tej okazji jest przypomnienie tych faktów, które były u początków naszej drogi. Przypomnieliśmy w swym przemówieniu tow. JAN SZYDLAK, członek Biura Politycznego i sekretarz KC.

Te początki to walka i krew, śmierć 32 tysięcy komunistów, którzy oddali swe życie za nowy ład społeczny w naszym kraju. Te lata i równie trudne lata następne to wielki wysiłek narodu, w codziennej pracy odbudowy i budowania, zapisany w zmęczonych twarzach i stwardniałych dłońach pokolenia, które temu obecnemu pokoleniu tak wiele zawdzięcza. Świadomość poniesionych w przeszłości ofiar i trudów musi nam stać towarzyszyć, a szczególnie wzbudzać szacunek młodzieży, która przejmując na siebie niełatwe, ale i także inne zadania.

Mówiąc o dniu dzisiejszym tow. JAN SZYDLAK w serdecznych słowach podziękował łódzkiemu zalogowi za zgłoszone czynności produkcyjne i społeczne zapewniając jednocześnie, że Partia ani na krok nie zboczy z drogi wytężonej przez VI Zjazd, konsekwentnie realizując wolę narodu.

W tej wielkiej sprawie, którą realizujemy jako naród wyjątkowo w naszych dziejach skonolidowany i zwarty, jednolity świadomością celów i ambicji, nie zabraknie miejsca, obok klasy robotniczej i wszystkich ludzi pracy, dla twórców.

„Zwracamy się do środowiska kultury, pisarzy, plastyków, aktorów i muzyków — powiedział tow. BOLESŁAW KOPERSKI — aby tworząc myśleli o współczesnym człowieku socjalizmu. Dzieła naszych twórców winny wpływać na świadomość, psychikę, wyzwalając najlepsze twórcze myśli, kształtować ich wrażliwość i dążenia”.

Łódzkie środowiska twórcze od lat znacząco wpisują się w mapę kulturalną kraju, od lat dawno dowodzą swego patriotyzmu i poczucia społecznych obowiązków, jakie na nich spoczywają. I niewątpliwie słowa i sekretarza KL przyjął jako dowód swego znaczenia, ale i zarazem zaszczytnego zobowiązania.

JERZY WAWRZAK

KONKURS

na niepublikowany utwór poetycki o tematyce dowolnej z okazji IX Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji. Udział mogą wziąć członkowie ZLP, Kół Młodych, Korespondencyjnych Klubów Młodych Pisarzy oraz innych klubów poetyckich. Prose utworów nadesłanych przez jednego autora jest nieograniczona.

Utwory poetyckie winny być sporządzone w formie maszynopisu w trzech egzemplarzach oraz zaopatrzone w godło autora. Nadesłane do Sekretriariatu Festiwalu: Łódzki Dom Kultury — Dział Środowiskowy, ul. Traugutta 18, tel. 394-83, w zamkniętej kopercie z dołączoną do niej w sposób trwały druga koperta, zawierająca oprócz godła autora również imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres oraz przynależność klubową.

Termin nadsyłania utworów: 15 kwietnia 1974 roku. Decyduje data stempla pocztowego. Utwory nie odpowiadające powyższemu warunkowi nie będą przedmiotem oceny Sądu Konkursowego. Nadesłane utwory nie podlegają zwrotowi, a oceny utworów nie nagrodzonych Sąd Konkursowy nie ujawni, nawet zainteresowanym.

Ogłoszenie wyników nastąpi 24 maja 1974 roku.

W konkursie przewiduje się następujące nagrody:

Jedna pierwsza — 5000 zł
dwie drugie po — 3000 zł
trzy trzecie po — 2000 zł

SĄD KONKURSOWY MOŻE NIE PRZYJĄĆ NAGRÓD, BĄDŹ DOKONAĆ INNEGO ICH PODZIAŁU.

PROSZĘ O GŁOSI

GŁOSNE, ZAPOMNIANE KSIĄŻKI

Wydawnictwo „Czytelnik” przypominało nam prozę Wincentego Kosiałowicza. Książkę oczywiście musiano zaopatrzyć obszernym wstępem Mirosława Puchalskiego, bowiem nikt dziś nie pamięta o dziennikarzu z przełomu XIX i XX wieku. Wincenty Kosiałowicz był warszawiakiem — znał dobrze to miasto i — jak pisze Puchalski — dobrze tę znajomość w dziennikarskiej i pisarskiej pracy umiał wykorzystać.

Skończył jednak w wstępie Puchalskiego nie padło słowo „Łódź” i nie padło słowo „Bawelna”, zostawmy na boku opowiadania z czytelnikowskiego tomu i przypomnijmy Kosiałowicza — łódzianina.

Oto w roku 1895 ukazuje się powieść „Bawelna”. Jej bohaterem jest chemik Rumiński. Dodajmy, że prototypem tej postaci był najprawdopodobniej autentyczny chemik, Jan Śniechowski, współtwórca zgierskiej wytwórni barwników. Zresztą Kosiałowicz czyni wyraźne aluzje pozwalające bohaterowi „Bawelny” dość dokładnie rozszyfrować.

I oto w dwa lata później rozpoczyna się w „Kurierze Codziennym” druk powieści Władysława Reymonta „Ziemia obiecana”. Jej bohaterem jest również chemik Borowiecki. Na dodatek mamy tu jeszcze drugiego chemika — Kurowskiego... właściciela wytwórni w Zgierzu.

Trudno dziś stwierdzić, czy Reymont inspirowany był wcześniej wydaną powieścią Kosiałowicza, czy po prostu obaj znali Jana Śniechowskiego, twórcę zgierskiej „Boruty”. Przypuszczam, jednak, że Śniechowski znany był obu pisarzom choćby z tej racji, że jego romans z żoną pewnego właściciela tkalni był chyba dość głośny, jeśli w jego wyniku chemik (liczący wówczas 43 lata) musiał się wynieść do Zgierza.

Faktem jest także i to, że pierwszą powieścią o Łodzi nie była „Ziemia obiecana” lecz „Bawelna”. To tyle na marginesie wstępu do zbioru nowel Wincentego Kosiałowicza. Skoro jednak padły tu tytuły dwu pierwszych powieści o Łodzi i skoro padła nazwa warszawskiego wydawnictwa, warto może pomówić o głośnych, zapomnianych książkach. Oczywiście w tym określeniu jest paradoks, ale chyba niezbyt wielki.

Otóż niedawno dowiedziałem się, że egzemplarz „Opisania Łodzi” Oskara Flatt kosztuje na giełdzie bibliofilskiej... trzy tysiące złotych. Kilkaset złotych kosztuje cieniutka broszurka z roku 1911 — „Ziemia obiecana” Zygmunta Barwickiego... Stosunkowo tanio bo 150 zł „Julka” Rowińskiego — też opowiadania łódzkie z lat dziewięćdziesiątych ub. wieku.

Mam w związku z tym propozycję dla Wydawnictwa Łódzkiego, nienową zresztą, sugerowaną od lat: nie raz i nie dwa. A gdyby tak wydać małą, parotytułową serię — „Opisanie Łodzi”, „Bawelna”, „Ziemia obiecana”, „Ziemia obiecana”. Niechby to były repliki pierwszych wydań, nawet drogie, ale bibliofilskie wydawnictwa... Za trzy tysiące Oskara Flatt nie kupię, za trzysta kupiłbym na pewno. Mogłaby to nawet być subskrypcja na całą serię — jestem przekonany, że dwa tysiące amatorów Wydawnictwa by znalazło, a jest to przecież wysoka wartość książki historyczno-literackiej. A biblioteki? Szkoły?

Nikt za nas też nie inicjatywy wydawniczej nie podejmie. Przykład czytelnikowskiego wyboru nowel Wincentego Kosiałowicza świadczy, że nawet w polonistycznym wstępie dokładnie przeoczono akcenty łódzkie w pisarstwie tego zesławieckiego pisarza. — Przypomnienie literackich tradycji i początków piśmiennictwa związanego z Łodzią należy do Łodzi. Jeśli my tego nie zrobimy, pretensję możemy mieć tylko do siebie.

JERZY WILMAŃSKI

▲ W URZĘDZIE RADY MINISTRÓW odbyło się pod koniec lutego krajowe spotkanie aktywu partyjnego i gospodarczego oraz pracowników polskiej dyplomacji. Tematem obrad były węzłowe problemy polityki zagranicznej PRL, współpracy gospodarczej i wymiany handlowej.

W obradach uczestniczyli: przewodniczący Rady Państwa Henryk Jablonski, premier Piotr Jaroszewicz. Przewodniczył I sekretarz KC PZPR — Edward Gierk.

▲ DLA UCZCZENIA 30-LECIA PRL zakłady pracy podejmują cenne zobowiązania produkcyjne, odpowiadając na wezwanie XIII Plenum KC PZPR.

▲ W „PANORAMIE TRZYDZIEŚTOLECIA” w lutym w Warszawie gościło Białostockie. W marcu — Bydgoskie.

▲ OD 30 MARCA DO 8 KWIEŚNIA 1974 ROKU odbywać się będzie SPIS LUDNOŚCI I MIESZKAN, który tym razem obejmie tylko 6,5 proc. ludności kraju. Wylosowani przedstawiciele społeczeństwa sami wypełnią spisowe ankiety według otrzymanych instrukcji.

Tak przeprowadzony spis — jak utrzymuje GUS — będzie szybki, tani i da statystyczny obraz niektórych problemów społecznych. Dotyczyć one będą rynku pracy, budownictwa mieszkaniowego, urbanizacji kraju i pomocy państwa dla ludności rolniczej w podeszłym wieku.

▲ GEJZER NA BALUTACH. Awaria sieci ciepłej wody spowodowała poważne straty na Balutach. Wrząca woda zniszczyła tory tramwajowe, jezdnię, zahamowała komunikację w tej całej dzielnicy. Wrząca woda poparzyła 11-letniego chłopca oraz strażaka, który spieszył mu na ratunek. Nastąpiła katastrofa takśowni, której kierownik stracił panownię nad kierownicą i wjechał w szybę wystawową sklepu oraz autobus, który po zaparowaniu szyb najechał na stojący samochód. W obu katastrofach ofiar nie było.

Wielka awaria sieci ciepłej wody na Balutach nie jest pierwszą. Wielokrotnie już też — na szczęście łagodnej — zimy zdarzały się przerwy w dopływie ciepła do domów, szczególnie położonych w zachodniej i północnej części miasta. Wydaje się, że są to wystarczające sygnały dla służb zajmujących się bezpieczeństwem i trwałością centralnego ogrzewania miasta.

▲ TEATR WIELKI W BYDGOSZCZY. Premiera — jak się przewiduje — ma odbyć się w początkach 1980 roku. Prace przy budowie teatru już rozpoczęto. Będzie to nowoczesny — trzeci po Warszawie i Łodzi — Teatr Wielki. Nowoczesny zarówno zewnętrznie, jak i w urzą-

dzeniach wewnętrznych. Widownia ma pomieścić jednorazowo tysiąc widzów. Salę kameralną buduje się na 200 miejsc.

Projekt gmachu opracował inż. Józef Chmiel z Politechniki Gdańskiej. Akustykę — inż. Witold Straszewicz z Warszawy.

▲ ŻYCIE BOGATSZE JEST OD NASZYCH NAJSMIELSZYCH FANTAZJI. Najpierw ludzie wymyślili roboty, każąc im poruszać się na kartach książek. Teraz ludzie w życiu realizują ten zamiar. Marzenie o mechanicznym „człowieku” staje się rzeczywistością i służyć ma człowiekowi.

W Japonii produkuje się już 200 modeli robotów pierwszego i drugiego „pokolenia”. Japońskie roboty kształtem przypominają żmije na nóżkach. Roboty

Szwecji. W Szwecji roboty tego typu wytwarza na amerykańskiej licencji pięć firm.

Wszystko to dopiero początki w produkcji mechanicznych „ludzi”. Jak twierdzą uczeni, roboty w każdym następnym „pokoleniu” będą coraz bardziej inteligentne i będą zdolne do wykonywania coraz to więcej i bardziej skomplikowanych czynności.

▲ „KULTURALNI” ZŁODZIEJE. Mnożą się ostatnio kradzieże kultury. Nie tak dawno w Kaliszu palili się zabytkowy XIII-wieczny kościół. I nie byłoby w tym nic dziwnego, jako że pożary zdarzają się wszędzie i zawsze (niestety!). Dziwnie w tym tylko było to, że w kościele tym znajdował się obraz Rubensa „Zdjęcie z Krzy-

że Radio Polskie niepotrzebnie zrezygnowało z powtarzania sobotniej audycji, transmitowanej z domu przy ul. Dobrej.

▲ „ZAGŁADA JAPONII” — taki tytuł nosi nowy, niezwykle kasowy film produkcji japońskiej, nakręcony według powieści pod tym samym tytułem japońskiego pisarza Sakyo Komatsu.

Film opowiada o gigantycznym trzęsieniu ziemi, jakie nawiedziło Japonię. Jak twierdzą jednak uczeni istnieją zupełnie realne przesłanki, aby twórcą wizji Sakyo Komatsu traktować poważnie. Na przykład stacje sejsmologiczne notują narastające wstrząsy ziemi w pobliżu Japonii. Sztuczne satelity Ziemi sfotografowały piękniejszą skorupę ziemską w tym rejonie. Jedno z nich przebiega w pobliżu Tokio. W 2050 miejscach stwierdzono zapadanie się ziemi. W Tokio powierzchnia ziemi obniżyła się o 20 cm tylko w ciągu ostatniego roku. W odległości 100 km od Tokio utworzyła się nowa wyspa, której powierzchnia stale rośnie.

▲ KONKURSY. Mamy ostatnio urodzaj na konkursy. Na prośbę organizatorów przypomniemy o dwu z nich:

— „PIERWSZE DNI, PIERWSZE LATA” — to konkurs ogłoszony jeszcze w ubiegłym roku przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, WRZZ w Łodzi, Łódzki Oddział ZLP, Wydawnictwo Łódzkie i „Głos Robotniczy”. Jest to konkurs na pamiętniki i wspomnienia łódzian, którzy „niezależnie od obecnego miejsca zamieszkania — działali w pierwszych latach PRL na terenie Łodzi”. Do konkursu można zgłaszać prace nie publikowane i nie zgłoszone do innych konkursów. Ich objętość nie powinna przekraczać 35 stron maszynopisu.

Termin nadsyłania prac: 1 maja 1974 roku. Adres: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, Łódź, ul. Piotrkowska 104.

Termin ogłoszenia wyników: 21 lipca 1974 roku.

Pierwsza nagroda: 10 tys. zł. — KONKURS NA WSPOMNIENIA KOBIECI — ogłosiła Wojewódzka Rada Kobiet przy WK FJN przy współudziale WRZZ, Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, Łódzkiego Oddziału ZLP. W konkursie mogą wziąć udział wszystkie kobiety, które mieszkały lub mieszkały na Ziemi Łódzkiej. Praca nie powinna przekraczać 15 stron maszynopisu. Termin nadsyłania ma: 30 majem 1974 roku. Adres: Wojewódzka Rada Kobiet przy WK FJN, Łódź, ul. Zachodnia 47, „Praca konkursowa”.

Pierwsza nagroda: 8 tys. zł. Poza drugą (5 tys.) i trzecią (3 tys.) przewidziano 4 wyróżnienia po tysiąc zł i 20 — po 500 zł.

NOTY i OPINIE

drugiego „pokolenia” specjalizują się w obróbce przedmiotów miękkich i lamiowych. I choć są to tylko „myślące” mechanizmy, to obrabiając tak kruche i delikatne materiały nie uszkadzają ich.

W Związku Radzieckim budowa robotów zajmuje się Instytut Budowy Urządzeń Lotniczych w Leningradzie. Skonstruowano tam między innymi jednorękiego robota, którego zatrudniono w fabryce turbin przy produkcji łopatek turbinowych. Robot ten wyjmując z pieca o temperaturze tysiąca stopni Celsjusza rozżarzone detale i zanurza je w oliwnej kąpeli. „Mózg” tego robota bez przerwy otrzymuje i przetwarza sygnały z 80 czujników.

W Leningradzie również skonstruowano robota w kształcie pajaka, który może samodzielnie chodzić po najbardziej fantazyjnie pofalowanym terenie.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej buduje się 17 typów robotów, służących do pracy w fabrykach. „General Motors” na przykład zatrudnia roboty typu „Unimat” przy spawaniu karoserii samochodów „Chevrolet — Vega”. Takie same czynności wykonują roboty typu „Unimat” we Francji i

za”. Obraz ten spłonął w czasie pożaru, ale badając ślady stwierdzono, że ocalałe fragmenty ram posiadają cięcia, jakby ktoś przed pożarem wyciął obraz z ram.

W Łodzi z Al. ZMP zginęła rzeźba psa o wadze 300 kg, do ustawienia której potrzebny był dźwig.

W Warszawie natomiast wykryto sprawcę licznych kradzieży starodruków i rękopisów. Okazał się nim 20-letni maturzysta z Konstancina, u którego w domu znaleziono 129 wartościowych starodruków oraz tekturę z mapami i rycinami. Wszystkie one pochodziły z bibliotek Warszawy, Sierpc, Włoszowej, Mirkowa, Hrubieszowa i innych miast. Niektóre, po wywabieniu pieczęci bibliotek, zdążył już sprzedać w antykwariatach.

▲ UKAZAŁA SIĘ DUKIEM SAGA RODU RADIOWYCH MATYSIAKÓW. Jak do tej pory tom I. Nakład — 30 tys. egzemplarzy. Wstęp napisał Melchior Wańkowicz.

Czy perypetie radiowej rodziny sprzed wielu lat będą i dziś tak faprawd czytelników, jak faprawd i faprawd słuchaczy radia?

Przy okazji wydania książkowego dzieła tej popularnej w kraju rodziny słyszy się głosy,

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZAKIEWICZ. Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI.

PREZENTACJE

— Czy zaczynając pracę, przypuszczała Pani, że zostanie wice-ministrem przemysłu lekkiego?

— Nigdy w życiu nie wyobrażałam sobie, że będę wykonywać tak odpowiedzialną funkcję.

— A zaczęła Pani od „Gumówki”?

— Tak. Najpierw, w czasie okupacji, pracowałam w laboratorium, a od 1945 roku byłam kierownikiem tego laboratorium. I właściwie od tego roku cały czas pracuję na kierowniczych stanowiskach.

— Była Pani wśród pierwszych pracowników, którzy uruchamiali „Gumówkę” po wojnie.

— Wśród pierwszych 13 osób, które przejęły fabrykę i rozpoczęły w niej produkcję zaraz po wyzwoleniu. Wtedy właśnie zostałam kierownikiem laboratorium. A były to czasy, kiedy brakowało inżynierów, technologów i trzeba było wszystkie problemy rozwiązywać w laboratorium. Pamiętam, że jednego razu przepracowałam Zielone Świątki, aby rozwiązać problem technologiczny i aby zaraz po świętach fabryka mogła ruszyć z produkcją.

Później była pani dyrektorem w tejże „Gumówce”.

— Dyrektorem technicznym i naczelnym. Szesnaście lat byłam dyrektorem. Poza tym przez kilka lat pracowałam w Zjednoczeniu Przemysłu Gumowego i niewiele brakowało, a zostałabym szefem produkcji zjednoczenia. Wysłałam jednak wtedy za mąż i ze względu na obowiązki rodzinne powróciłam do fabryki.

— Była Pani naczelnym dyrektorem, kiedy „Gumówka” przeniosła się do nowych hal na Teofilowie.

— Ogromnie wzrosło zapotrzebowanie na obuwie gumowe, tak że nie byliśmy w stanie go zaspokajać. Trzeba było budować nową fabrykę. Były wtedy koncepcje, żeby wybudować ją w różnych częściach kraju. Myślano o Zaganiu, o lokalizacji nad morzem, ale ostatecznie zdecydowała przyszłość załogi. W dawnej „Gumówce”, a dziś „Stomilu”, pracowała duża liczba ludzi, a wśród nich wiele kobiet. Były to ludzie z dużymi kwalifikacjami, i strata dla Łodzi i dla nich byłoby, gdyby musieli przekwalifikować się i szukać pracy w innych fabrykach. I to zdecydowało, że „Stomil” wybudowano na Teofilowie i za pozostał w Łodzi.

— Przez cały czas pracowała Pani w przemyśle chemicznym, a teraz przyszło Pani kierować przemysłem lekkim.

— Przemysł lekki bardzo się chemizuje, ma swoje plany i programy wielkiej chemizacji. Nowoczesność w przemyśle lekkim, poza technologią i techniką, to również surowce chemiczne pochodzenia — włókna chemiczne, surowce. W niektórych wyrobach stosuje się już tylko włókna chemiczne. Surowce chemiczne wprowadza się do przemysłu skórzanego. Decyduje to o nowoczesności wyrobów. Dzięki chemii możemy produkować wyroby włókiennicze i dziewiarskie, które łatwo się piorą, nie gniją się i których nie trzeba prasować. Tak, że i teraz przydają mi się doświadczenia nabyte w przemyśle chemicznym.

Poza tym wywodzi się z rodziny włókienniczej. Jestem łodzianką. Urodziłam się w domach rodzinnych przy ulicy Ogrodowej. Moi dziadkowie i rodzice pracowali w Poznańskim — dziś Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego. Tak, że sprawy przemysłu włókienniczego nie były mi obce. I to mi bardzo pomaga w rozumieniu potrzeb ludzi z przemysłu lekkiego, gdyż przede wszystkim interesuję się właśnie sprawami ludzi.

— Czy mogła Pani pytanie trochę niedyskretne?

— Proszę bardzo.

— Czy to trudno być jednocześnie ministrem i kobietą?

— Myślę, że jeśli się to robi w sposób bezpośredni, tak jak to wynika z pracy, to chyba łatwo. Ale nie może jedno mówić nad drugim. Nie można być tylko wiceministrem, zapominając, że się jest kobietą. I — wydaje mi się — że takiej funkcji nie można pełnić, pamiętając o tym, że się jest kobietą, a zapominając, że rowieć wiceministrem.

— A jednak to nie jest łatwe.

— Bo i sprawy, którymi zajmujemy się nie są łatwe.

— Jak to sprawy?

— Bardzo ogólnie mówiąc jest to działanie na rzecz ludzi pracujących w przemyśle lekkim. Są to wszystkie sprawy związane z miejscem i warunkami pracy, z tym, co i ile robi pracownik przemysłu lekkiego i jak jest za swoją pracę odpłacany. Dążymy do tego, aby coraz lepiej płacić za dobrą pracę. A zatem trzeba określić wszystkie jej elementy. Przy tym nie chcemy rezygnować z pozamaterialnych form zachęty do lep-

szej pracy. W centrum naszego zainteresowania znajduje się zatem osobowość człowieka, rozwój tej osobowości. Interesują nas problemy kształtowania świadomości politycznej i społecznej ludzi z naszego przemysłu, ich kwalifikacje. Dążymy do tego, aby coraz więcej ludzi wykorzystywać do współgospodarstwa zakładami ich pracy, a zatem musimy troszczyć się o wysoki poziom świadomości naszych pracowników, musimy zwracać uwagę na zagadnienia dobrej organizacji pracy.

Udaje się nam to w coraz większym stopniu. Ludzie cenią sobie dobrze zorganizowaną pracę, angażując się w rozwiązywanie coraz to nowych problemów, jeśli widzą, że przynosi im to korzyści, dążą do jeszcze lepiej zorganizowanej pracy i chcą być za swój wysiłek należycie oceniani.

— Występuje tu swoista zależność: im więcej zakład pracy daje ludziom, tym więcej ludzie dają na rzecz ogółu.

— Jest to zależność podstawowa. I dlatego taką wagę przywiązujemy obecnie do tego, co się zwykło określać humanizacją pracy, a co wyraża się wpływem człowieka na pracę i pracy na człowieka. W tej naszej działalności nie zapominamy, że w przemyśle lekkim pracuje około 68 proc. kobiet, ale są też u nas dziedziny, w których pracuje do 82 proc. kobiet.

— Sporo już zrobiono w przemyśle lekkim dla kobiet.

— Ale to wszystko jeszcze mało. My w przemyśle lekkim musimy zrobić wszystko, aby zaspokoić duże zapotrzebowanie rynku na nasze wyroby poprzez wprowadzenie nowoczesniejszych i wydajniejszych maszyn i poprzez coraz lepszą organizację pracy, która, przy zaspokajaniu wielkiego zapotrzebowania na wyroby przemysłu lekkiego, pozwoli pracownikom właściwie i należycie wypoczywać. Przecież ja, jako kobieta najlepiej wiem, co to znaczy wolna sobota i co by to znaczyło pracować na dwie zmiany, gdyż w wielu fabrykach ciągle jeszcze pracuje się na trzy. W tej chwili nie stać nas jeszcze na zniesienie trzeciej zmiany. Ale mam już możliwość wykorzystania 12 wolnych sobót w ciągu roku.

— Od czego to zależy?

— Zgodnie z uchwałą rządu będzie

M I R O S Ł A W A W A S O W I C Z

w tym roku 6 wolnych sobót, ale my mamy przywilej i możemy wykorzystać 12. Od czego to zależy? Właściwie od kogo? Od technologów, organizatorów i kierowników produkcji, aby pomyśleli i tak zorganizowali pracę, żeby można było do maksimum wykorzystać nowe maszyny i wygospodarować czas na odpoczynek.

— Ale dodatkowo wolne soboty to tylko cząstka spraw, jakie trzeba rozwiązać, aby ludziom lepiej i łatwiej pracowało się, i lepiej odpoczywało.

— A te inne?

— Jest ich bardzo dużo.

— To może tylko niektóre, choćby przykłady.

— Są to sprawy, które dotyczą wszystkich pracowników przemysłu lekkiego, a nazwać je można poprawą warunków pracy. Jeśli więc mają być tylko przykłady, to może zacząć od naszych starań o poprawę klimatyzacji. W lipcu tego roku ma ruszyć nowa fabryka urządzeń klimatyzacyjnych. „Bzura” w Zgierzu znacznie w niedługim czasie wytworzy urządzenia dla transportu wewnętrznego. W zdunskowolskim „Zwol-textie” próbuje się słuchawki, które mają wyciszać hałas. Słuchawki te mają wmontowane urządzenia do odbioru muzyki z radiowęzła. Takie rozwiązanie jest uzasadnione ze względów psychologicznych. Zbyt duża cisza wolta bowiem niekorzystnie na psychikę człowieka, a odpowiednia muzyka czy nawet pogadanka nie przeszkadza mu w pracy.

Nie wszystko możemy rozwiązać we własnym zakresie, dlatego też zwracamy uwagę — mówiąc ściślej — zalecamy zwracanie uwagi — aby przy kupnie maszyn i urządzeń dla fabryk przemysłu lekkiego nie pominąć ich wpływu na warunki pracy człowieka. I dlatego, na przykład przy kupnie maszyn z krajów zachodnich polecamy zwracać uwagę na to, jak wielki wywołują hałas. Zachodni kontrahenci przyjmują to nasze zainteresowanie ze zdziwieniem. U nich uważa się, że maszyny włókiennicze muszą hałasować, że to niejako ich fakcie „przyrodzone prawo”.

— Aby ułatwić kobiecie pracę i życie, nie można ograniczać działania tylko do zakładu jej pracy.

— Oczywiście. To również sprawa

usług, przedszkoli, żłobków, sprawne-go działania handlu.

— Wielkie znaczenie ma to szczególnie w Łodzi.

— Wiem. Przez kilka lat byłam przewodniczącą Rady Kobiet w Łodzi. Stale podnosiłyśmy sprawę właściwego wyposażenia nowych osiedli w to wszystko, co ludziom potrzebne jest do życia. Najpierw jednak powstaje osiedle, ludzie zaczynają już mieszkać, wożą ze śródmieścia lub innych dzielnic torby wypchane zakupami — a przecież z komunikacją też nie zawsze jest najlepiej, choć się wiele pod tym względem zmieniło — a dopiero później, znacznie później, buduje się w nowym osiedlu sklepy, punkty usługowe, przedszkola.

— Niektórzy mówią, że kobieta pracuje na trzech etapach: w pracy zawodowej, w domu i jako wychowawczyni dzieci. Ale też najczęściej kończy się na tym ładnym stwierdzeniu. Nie jednak nie robi się, aby szybciej przysięść z pomocą temu pracownikowi aż trzech etapów.

— Nie, to może zbyt niesprawiedliwe określenie, bo sporo jednak robi się, tylko zbyt powoli. Z tym zupełnie się zgadzam. Sama zachęcam dyrektorów łódzkich przedsiębiorstw przemysłu lekkiego, aby występowali z inicjatywami wszędzie tam, gdzie tylko mogą, aby współdziałali z władzami miasta w szybszym zmianianiu i poprawianiu warunków życia w mieście.

— Czy pani zgadza się z określeniem tych spraw jako „problemu kobiecego”?

— Nie. Jest to po prostu problem społeczny i tak trzeba go traktować.

— Zwracam uwagę na to sformułowanie, bo wydało mi się, że bardzo dużo zależy od sposobu podchodzenia do spraw warunków pracy i życia, od sposobu myślenia.

— Oczywiście. Na każdym stanowisku trzeba starać się patrzeć szerzej, widzieć poszczególne sprawy w ich wzajemnym związku, starać się myśleć bardziej nowocześnie, zwracać też uwagę na rzeczy pozornie drobne.

Byłam niedawno w jednej z fabryk bawełnianych. Zobaczyłam kobiety zamiatające hale szczotkami. Akurat świeciło słońce, toteż tumany pyłu widać było wyraźnie. Musiałam zwrócić uwagę, że przecież mają pyłochłony, dlaczego ich nie używają, dlaczego każą ludziom przemieszczać kurz, rozpylać go w powietrzu.

— Albo inna sprawa, równie z poz-



się tylko do spraw jednej fabryki. Uczyłam się widzieć społeczne tło każdej sprawy. I to mi dziś bardzo pomaga.

— Uważam, że taką cechę powinien wyrobić u siebie każdy, niezależnie od tego, na jakim stanowisku pracuje. Chcąc pracować dobrze, nie można pracować tylko „od do”, ale trzeba starać się każdą zaczęta pracę zakończyć pozytywnie, trzeba dążyć do wyrobienia u siebie moralnej dyscypli-

— Całe życie pracowałam z mężczyznami. Uważałam, że jestem twarda i nie traktowałam z przyzwyczajeniem oka. A ja po prostu zawsze dążyłam do tego, co sobie postanowiłam i nigdy nie rezygnowałam z wytyczonego celu. Byłam jedyną kobietą dyrektorem w przemyśle gumowym i zawsze mieliśmy pozytywną ocenę fabryki, którą kierowałam.

Mężczyźni, z którymi współpracowałam traktowali mnie jak kolegę, ale zawsze będę to powtarzała, że aby mężczyźni uznali kobietę za kolegę, to kobieta musi dwa razy tyle pracować co oni. Kobieta, żeby mężczyźni uznali ją za równorzędnego partnera, musi być kryształowa, nigdy jej nie ujdzie to, co im uchodzi, musi mieć na wszystko swój własny, nie przejęty pogląd, nie może pozwolić sobie — jak to się mówi — dmuchać w kaszę. A to wszystko nie jest takie łatwe.

— A jak Pani sobie radzi z własnymi mężczyznami, tymi w domu?

— O, to jest jeszcze trudniejsze. Wprawdzie synowie są poza domem, bo jeden studiuje na WAT i jest pod dobrą opieką, ale też często wpada do domu i chciałby zostać mamę. Drugi studiuje w Łodzi i jest pod opieką cioci, ale znów przyjeżdża na soboty i niedziele do Warszawy, a tu przecież i niedziele czasem miewam zajęte. Więc trzeba jakoś starać się tak organizować czas wolny, abyśmy się mogli razem spotykać jak najczęściej.

— A mąż?

— Mąż mówi, że całe życie czeka na mnie. Mimo to jesteśmy dobrym małżeństwem. Mąż rozumie, że praca wymaga, abym czasem dłużej była poza domem. Kiedy ma czas, przychodzi do mnie. Czasem jedziemy razem w teren, kiedy mój wyjazd wpada w niedzielę. Staramy się wykorzystywać dla siebie każdą wolną chwilę.

Małżeństwo jest dla mnie czymś bardzo ważnym, daje mi tę pewność, że mam w domu kogoś, kto mnie rozumie, z kim mogę porozmawiać, poradzić się. Wiem, że mam w domu przyjaciela. A to dla mnie znaczy bardzo wiele.

— Widzę, że na odpoczynek zostaje Pani niewiele czasu.

— Powiem pani, jak lubię odpoczywać. Bardzo lubię las. Bardzo lubię spacerować. Od czasu do czasu teatr, dobry film.

— Jak się domyślam udaje się to Pani zrealizować też od czasu do czasu.

— A niekiedy po prostu posiedzieć w domu, szczególnie, kiedy w domu jest cała rodzina.

— Co chciałaby Pani otrzymać na Dzień Kobiet?

— Na Dzień Kobiet?

— Tak.

— Wie pani, że nie zastanawiałam się nad tym.

— To proszę pomyśleć, co chciałaby Pani otrzymać, a co sprawiłoby Pani największą radość?

— Satisfakcja, że to co robię, robię dobrze. Chciałabym otrzymać podziękowanie za swoją pracę. I to sprawiłoby mi największą radość.

— Odpowiedziałaby Pani jako wiceminister, a co chciałaby Pani otrzymać jako kobieta?

— Jako kobieta?

— Tak.

— Jako kobieta bardzo lubię otrzymywać kwiaty, ale wolę otrzymywać je przy innych okazjach.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

GEORGES SIMENON

WIEZIENIE

6

Tłumaczył: R. WYSOCKI

W tekstach również historie z codziennego życia. Dramaty jakich wiele. Pierwszy afisz, kilka lat temu, na murach Paryża: palec, wskazujący przechodniów, mężczyzn i kobiety: „Ty”!

— „Ty”, przed którym nie można uciec.

— Słuchajcie mnie uważnie, moje króliki. Nie piszemy dla wszystkich, ale dla każdego i każdy powinien czuć, że to jego dotyczy.

— „Ty... U ciebie... Z tobą... W tobie... Zszedł na dół i w momencie, kiedy przekraczał próg swego gabinetu, podano mu słuchawkę.

— Rabut — szepnął Maieski.

— Halo! Ma pan coś nowego? Zaczeka mówić?

— Nie. Stąd nie mogę z panem rozmawiać. Niech pan wpadnie o wpół do pierwszej do bufetu w sądach, zjemy tam obiad. Sędzia śledczy upoważnił mnie, żeby pana wezwać na konfrontację, która odbędzie się o godzinie drugiej.

— Z nią?

— Jasne.

— Adwokat odwieść słuchawkę. Był dość oschły, jakby w złym humorze. — Nie wiem jeszcze, czy przyjdę po południu. W każdym bądź razie nie będę robił następnego numeru. Zostawiam wszystko na twojej głowie.

— Wolno zszedł na dół. Przez całe lata skręcał się do niego z pytaniami:

— Dokąd biegł?

— Zawsze bowiem się spieszył i cały swój czas spędzał na gonitwie z jednego miejsca na drugie.

W pewnej chwili był zaskoczony, że dziś chodził jak wszyscy, a nawet idzie wolno. Gesty jego były również powolne, nawet przy zapalaniu papierosa. Rzucił okiem na bar naprzeciwko, zaważając się, przeszedł pod strumieniem deszczu na drugą stronę ulicy.

— Podwórno scotch?

— Kiwnął głową, że tak, wyrzucił na dwór, by uniknąć rozmowy z barmanem. Zostało mu jeszcze dokładnie tyle czasu, by bez pośpiechu dotrzeć do sądów i znaleźć miejsce do zaparkowania wozu. Paryż wydawał się ciężki, ponury. Zdałoby się, że auto posuwały się krok za krokiem. Wypalił dwa papierosy, nim dojechał i ostatecznie ustawił wóz dość daleko od sądów.

Znal ten bufet ciemny i staromodny, bo na początku kariery zdarzało się, że pisywał sprawozdania z procesów. Rabut był już wówczas w pałacu i kiedy szybko przechodził przez korytarze, albo przez poczekalnię, w rozświetlonej tożdej, której rękawy trzępotały jak skrzydła, młodzi i młodszy adwokaci rozstępowali się z szacunkiem.

Powiół oczyma po stołkach, przy których oskarżeni, pozostający na wolności, a oskarżeni rozprawę po południu, dyskutowali po cichu ze swoimi obrońcami.

— Zamówił pan stołek?

— Czekam na mecenasa Rabuta.

— Tedy.

Przy oknie, jak zwykle. Zobaczył, że idzie, masywny, o tegim karku, wpadał niemal w pustę, podwórko, jak na salę sądową. Nie miał w ręku teczek, ani dokumentów.

— Zamówił pan już?

— Nie.

— Ja wezmę zimne mięso i pół butelki burgunda.

— To samo.

Twarz adwokata nie była bynajmniej uśmiechnięta.

— Jak ona wygląda?

— Spokojna i twarda. Wystarczy, że tak się będzie zachowywać przed ławą przysięgłych, a zafasują maksimum.

— Dalej milczy?

— Kiedy Bénézet zadał jej pytanie, czy zabiła siostrę, ograniczyła się do odpowiedzi, że tak. Następnie zadał pytanie, czy biorąc rano browninę z szuflady, była już na ten czyn zdecydowana. Powiedziała, że nie była jeszcze pewna, że decyzja zapadła później.

Przyniesiono zimne mięso, wino i na pewien czas musieli zamknąć.

— Bénézet to chłop ciemny, dobrze wychowany. Odnosił się do niej z dużą wyrozumiałością. Zadał sobie pytanie, czy ja na jego miejscu nie dałbym jej po twarzy.

Alain czekał na dalszy ciąg w milczeniu, ale w jego ciemnych oczach pojawiły się gwałtowne błyski. Znal Rabuta, jego brutalność, której w poważnej mierze zawdzięczał swoje sukcesy.

— Nie wiem, jak sobie poradziła, ale wyglądała jakby wyszła prosto od fryzjera. Ani jeden włos nie wymykał się. Była świeża, wypoczęta, na kostiumie nie było ani jednej fałdki.

Zielony kostium, który zamówiła trzy tygodnie temu. Wczoraj wyszła z domu po nim, tak że jeszcze przed chwilą nie wiedział, jak była ubrana.

— Siedziała jak na wycieczce. Zna pan te stare pomieszczenia na samej górze, które nie zostały jeszcze zmodernizowane? Tam właśnie Bénézet ma swój gabinet. Wszystko pokryte jest kurzem. Akta piętrzą się na ziemi prawie do sufitu.

W tym otoczeniu wyglądała, jak dama na wycieczce, dama, która uważa, żeby się nie zabrudzić.

Pytał ją z naciskiem o powody jej postępków. Ograniczyła się do odpowiedzi:

— „Zawsze nienawidziłam siostry”.

Oczywiście zwrócił jej uwagę, że to jeszcze nie powód, żeby ją zabić, a ona odparła:

— „To zależy”.

Zażądałem zbadania przez psychiatrę. Niestety, nie ma żadnej szansy na to, że jest obłąkana.

Alain wrócił z wahaniem:

— Kocur zawsze był jakby nie z tej ziemi. Mówił mi często, że nie można przewidzieć, co zrobi. Jak młody kot, który mruży sobie oko kominka i nagle, bez powodu, robi skok w drugi koniec pokoju. Dlatego właśnie nazwałem ją Kocurem.

Rabut patrzył na niego nie mrugnawszy okiem, jednocześnie żuł kawał zimnej wołowiny.

— To nie chwyci — ograniczył się do tej uwagi, jak gdyby jego rozmówca powiedział przed chwilą głupstwo.

Sędzia chciał wiedzieć, czy kierowała nią zazdrość, a ona nie mrugnęła okiem, nie otworzyła nawet ust. Od tego momentu nie można było nie z niej wydusić, co więcej to milczenie w końcu stawało się niemal obraźliwe.

Wziął nowy kęs. Alain jadał również, nie oglądając się wokół siebie. Jeszcze nigdy świat nie był tak mały, a sąsiedzi nie stali tak blisko siebie.

— Najtrudniej będzie strawić to, co zaszło później. Kiedy już pańska żona była w drodze do celi...

— Zażożono jej kajdanki?

— Na korytarzach, tak. Tak! Jest regulamin. Zostałem na chwilę sam na sam z Bénézetem. Dostał właśnie raport lekarza sądowego. Adrianna Blanchet nie zginęła na miejscu, była jeszcze kilka minut, cztery do pięciu.

Alain wciąż jeszcze nie nie rozumiał. Trzymając kieliszek w ręku, przysłuchiwał się z niecierpliwością adwokatowi.

— Właśnie pan pewnie, że niania, którą nazywają Nana, ale której prawdziwe nazwisko brzmi Maria Poterat, znajdowała się z dziećmi w sąsiednim pokoju. Najpierw usłyszała odgłosy klótni, a potem wpadła na dobry pomysł, aby zaprowadzić chłopca i dziewczynkę do kuchni.

W chwili, kiedy wyszła na korytarz, usłyszała strzały. Chłopiec chciał lecieć zobaczyć co się stało. Odcignęła ich niemal siłą i oddała pod opiekę kucharek.

Alain, który znał rozkład mieszkania i osoby, odtworzył sobie mimo woli całą scenę.

— Nie jest dla pana tajemnicą, że kuchnia leży na drugim końcu mieszkania. Niania po cichu wyjechała z kucharek, że nie wolno jej wypuścić dzieci.

Znając Bénézet, jestem przekonany, że wysłał inspektora, żeby sprawdzić, co do sekundy, co robią biegające. Doszedłszy do drzwi pokoju, Maria Poterat nie weszła od razu, ale nasłuchiwała. Ponieważ nie było słychać, zaważała się, następnie postanowiła zapukać.

Nikt nie odpowiadał. Liczmy, że upłynęło w sumie trzy minuty. Ołóż, kiedy weszła, pańska żona stała przyciskając twarz do szyby, jej siostra leżała jak długa na ziemi, na pół

dywanie, na polu na podłodze, o meter od toaletki. Z na pół otwartych ust wydobywał się słaby jęk.

I Rabut, nadziewając kawałek szynki na koniec widelca, zakończył:

— I niech pan broni w tej sytuacji! Strzela do siostry. No, dobrze! Choć byłoby lepiej, żeby to nie była siostra. Wszystko jedno, kto, ale nie siostra. Ludzie wierzą jeszcze w głos krwi, w Kaina i Aba.

Zazdrość, zgoda. To łatwe. Ale zastrzelić siostrę i pozwolić jej dogorywać przez cztery czy pięć minut, nie zając się nią i nie wezwać pomocy...

Ołóż nie można uniknąć tego, że Marie Poterat stanie przed sądem i będzie świadkiem koronnym.

Każą jej opisywać umierającą, następnie morderczynię, stojącą przy oknie.

Alain spuścił głowę, nie wiedząc, co powiedzieć. Rabut miał rację, z pewnością, a jednak to nie była prawda.

Prawdy on też nie znał, tak samo jak inni, ale być może zaczynał się jej domyślać.

— Od kiedy był pan kochankiem siostry?

— Nie byłem już.

— A jak długo pan był?

— Mniej więcej siedem lat. Ale to nie było to, co pan myśli. Między nami była swojego rodzaju intymna przyjaźń.

— Chwileczkę! Spaliście ze sobą, tak czy nie?

— Spaliśmy.

— Gdzie?

— W studio umeblowanym przy ulicy Longchamp.

— To niedobre.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim porządnym ludzi omijają takie miejsca i uważają je za podejrzane, w ich pojęciu korytarz jest one z pojęciem występu.

Alain o mało nie zaprotestował:

— To było takie niewinne!

Nie był pewien, czy nawet Rabut to zrozumie.

— Kiedy udaliście się tam ostatni raz?

— Dwudziestego trzeciego grudnia ubiegłego roku. A więc prawie rok temu.

— Pańska żona wiedziała o tym?

— Nie.

— Była bardzo zazdrosna?

— Nie nie mówiła na to, że przespałem się tu i ówdzie.

— Opowiadał jej pan o tym?

— Jeżeli trafiała się okazja.

— Nigdy nie podejrzawała, że utrzymuję pan stosunki z jej siostrą?

Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Patrzył na siebie w milczeniu. Istniała obawa, że dojdzie do takiej wymiany zdań, jak poprzedniego dnia między nim a szwagrem.

— Czy przypuszczał pan, że mógł być jeszcze ktoś trzeci?

— Musiałem przecież dojść do takiego wniosku.

— A teraz pytam pana jasno: ma pan jakieś podejrzenie?

— Żadnych.

Dużo czasu spędzał pan razem z żoną?

— Rano ja wychodziłem pierwszy. Zdarzało się, że pisała jakiś artykuł i robiła to w domu. Telefonowała też do Nonnettes, naszego domu na wsi, żeby porozmawiać z synem.

— Ile ma lat?

— Pięć.

— To dobrze. Dobrze, albo i źle. To zależy. Następnie?

— Prawie zawsze, około godziny jedenastej, telefonowała do mnie do redakcji, żeby się dowiedzieć, gdzie jem obiad i najczęściej dołączała do mnie w restauracji.

— Następnie?

Odsunął talerz, zapalił fajkę.

— Najczęściej miała się z kimś spotkać. Jej specjalnością były wywiady z osobistościami, bawiliśmy przejazdem w Paryżu. Nie krótkie reportaże, ale często prawdziwe studia, drukowane w wielu odcinkach. Potem telefonowała do mnie znowu, albo dołączała do mnie w Clocheton, naszym barze przy ulicy Marignan. Mędzy godziną siódmą, a ósmą zbierało nas się tam z dziesięciu kumpi.

— Kolać jadałście sami?

— Rzadko.

— Wracałście do domu późno?

— W praktyce nigdy przed godziną pierwszą w nocy, częściej o godzinie drugiej lub trzeciej.

Rabut wrócił, niby stwierdzenie błęgiego:

— Brak życia rodzinnego. Przysięgli, jeżeli nawet sami pozwalają sobie na bardziej fantastyczne wybryki, mają to życie. Wystarczy wspomnieć o zupie na kolację, żeby ich wzruszyć.

— Nigdy nie jadałście zupy — odparł zimno Alain.

— Jutro pańska żona zostanie przewieziona do więzienia Petite Roguette. Udam się tam do niej. Pan też może prosić o zezwolenie na wizytę, wątpię jednak czy na tym etapie śledztwa dostanie pan zgodę.

— Co pisać gazety?

— Nie czytał pan? Na razie zachowują ostrożność. Pan jest znana osobistością w Paryżu i nie mają śmiałości posuwać się zbyt daleko. Tym bardziej, że pańska żona jest również dziennikarką.

Posiedzieli jeszcze z dziesięć minut w bufecie, przeszli przez podwórze. W korytarzu prokuratora więziennego czekali przed ponumerowanymi drzwiami, w kajdankach, między dwoma strażnikami.

Przed drzwiami w głębi korytarza widać było grupę fotoreporterów i dziennikarzy.

Rabut wruszył ramionami.

— Należało się tego spodziewać.

— Wiem. Widziałem zdjęcie.

Kilka fleszów, poruszenie, adwokat zapukał dwa czy trzy razy do drzwi, wszedł śmiało, przepuszczając przed sobą Alain.

— Przepraszam, mój drogi. Chciałem uniknąć spotkania przed pańskimi drzwiami w obecności dziennikarzy i fotografów. Obawiam się, że jesteście wy wcześniej.

— Trzy minuty.

Kancelista wstał i wskazał im krzesła. Protokółant, usadowiony przy końcu stołu, nie zrobił żadnego ruchu.

Sędzia był blondynem, o sylwetce sportowej, spokojnego usposobienia. Na sobie miał szary garnitur, świetnie skrojony, długą i wypielegnowaną rękę zdobił sygnet.

— Zorientował pan pana Poltaud w sytuacji?

— Zjedliśmy razem obiad w bufecie.

— Proszę mi wybaczyć, panie Poltaud, że panu narzucam tę konfrontację, która być może będzie dla pana przykra, ale jest to mój obowiązek.

Alain stwierdził ze zdumieniem, że ścisł go w gardle, głos mu się łamał.

— Jestem rad, że zobacze pana.

Wszystko było już takie dalekie! Zda-

wało mu się, że minęły wieki, od czasu kiedy się rozstali i z trudem przypominał sobie jej rysy.

A przecież było to dopiero wczoraj. Kiedy pani Martin potrzaskała go za ramię, wstał, potem w studio wypił kawę i zjadł dwa rogaliki, przeglądając gazety. Wielkie tytuły poświęcone były burzy, która szalała nad kanałem La Manche, dwóm statkom które zatoniły, zerwanej tamie w Bretanii, wodzie, która zalala piwnice w niektórych nadbrzeżnych willach.

Ubrał się, jak każdego ranka i pochylił się nad Kocurem, rozgrzanym pod kocem, który otworzył powieki.

— No, to na razie. Zatelefonujesz?

— Rano nie, mówię ci wczoraj. Mam spotkanie w hotelu Crillon i tam zostanie na obiad.

— A więc, po południu?

— Po południu.

Uśmiechnął się do niej i poglaskał po włosach. Czy odpowiedziała uśmiechem. Nie potrafił sobie przypomnieć.

— Papierosa?

— Dziękuję.

Odruchowo zapalił. Czekanie było kłopotliwe i absolutnie nie mogli zacząć banalnej rozmowy.

Na szczęście, zapukano do drzwi. Podnieśli się wszyscy trzej, tylko kancelista pozostał przynurony do krzesła. Kocur wszedł, między dwoma strażnikami, którzy fotografom zamknęli drzwi przed nosem i zdjęli jej kajdanki.

— Proszę zaczekać na korytarzu.

Byli oddaleni od siebie nie więcej, niż o dwa metry. Miała na sobie białozielony kostium, haftowaną bluzkę, a na kasztanowych włosach zabawną toczkę z tego samego materiału, co komplet.

— Zechce pani usiąść.

Najpierw rzuciła okiem na sędziego śledczego, następnie na adwokata. W końcu wzrok jej spoczął na twarzy męża.

Alainowi wydało się, że w oczach żony przemknęło bardzo szybko wiele uczuć, najpierw zdziwienie, być może na widok jego stęzających rysów, oteplającego wzroku, potem cień ironii, i, nie był tego pewien, również lekkie wzruszenie albo sympatia.

Dalszy ciąg nastąpi



ANTOLOGIA ZAMACHÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

mentów partyjnych, którzy stali na przeszkodzie realizacji jej własnych planów przejęcia władzy, co wcale nie miało oznaczać zasadniczej zmiany polityki. Jak bowiem powszechnie wiadomo, wojskowe kręgi opozycyjne planowały zawarcie separatystycznego pokoju z mocarstwami zachodnimi, licząc na ich poparcie dla dalszej kontynuacji wojny na froncie wschodnim.

Ponieważ poruszone wyżej problemy dotyczyły się już wielu, nieraz bardzo gruntownych analiz i opracowań (tak w literaturze polskiej jak i obcej) wydaje się więc, że nie ma potrzeby dłużej się przy nich zatrzymywać. Warto raczej zwrócić uwagę na może mniej istotny aspekt owego „dlaczego?”, ale przecież nie do pominięcia, a mianowicie na to, jak przedstawiała się sprawa osobistego bezpieczeństwa Hitlera od momentu objęcia przez niego władzy w 1933 r. Czy przypadkiem środki bezpieczeństwa podejmowane przez jego ochronę nie były również przyczyną fiaska większości planów dokonania zamachu? Zagadnienie to jest stosunkowo mało znane, jako że zachowało się niewiele relacji dotyczących środków i metod działania służby ochrony Hitlera. Mogło by się pozornie wydawać, oglądając niemieckie filmy i publikacje propagandowe z tego okresu, które ukazy-

wały Hitlera wśród rozhisteryzowanych tłumów, podczas przejazdów przez miasta, na imprezach partyjnych i naradach, że jego ochrona — prawie niewidoczna — wcale nie była potrzebna. Z kolei sam Hitler przy wielu okazjach podkreślał, że należy do tych nielicznych meżów stanu na świecie, których mogą się poruszać po kraju bez ochrony, bowiem nie muszą się bać swojego narodu. Czy jednak tak było w rzeczywistości? Czy Hitler faktycznie czuł się w Niemczech bezpieczny? Czy nie obawiał się możliwości zamachu na swoją osobę?

Otoż okazuje się, że rzeczywistość była zgoła inna. W świetle relacji ludzi z najbliższego otoczenia Hitlera wynika niezbicie, że żył on w ustawicznej obawie o swoje życie. Podejmował więc wszelkie kroki, które mogłyby uniemożliwić dokonanie zamachu na jego osobę. Jak wspomina osobisty pilot Hitlera, Hans Baur, już w 1933 r. wszystkie jego loty były utrzymywane w tajemnicy. W swoich pamiętnikach podaje on pewne interesujące szczegóły lotów z Hitlerem. Tak np. we wrześniu 1933 r. leciec do Karlsruhe, aby odwiedzić ofiarę wielkiego pożaru, który miał miejsce w pobliskiej miejscowości, Baur otrzymał rozkaz utrzymania celu lotu w tajemnicy nawet przed samym komendantem lotniska w Berlinie, pomimo że ten miał wyraźną dyrektywę minister-

stwa lotnictwa, aby dla zabezpieczenia lotów Hitlera na czas go o nich informować. Zazwyczaj po stracie samolotu Hitler nakazywał pilotowi lot przez pewien czas w fałszywym kierunku po czym zataczając łuk wokół Berlina kierowano się na właściwy kurs. Podczas całego lotu obowiązywała cisza w łączności przerywana dopiero na pięć minut przed lądowaniem. W czasie wspomnianego już lotu do Karlsruhe miał miejsce pewien incydent. Ołóż gestapo poinformowało gaulitera Wagnera o terminie przylotu Hitlera i całą trasę z lotniska do miasta została udekorowana, a tysiące SA-mannów oczekiwało Hitlera na płycie lotniska. Hitler, zirytyowany tym faktem, wracając ze spalanej miejscowości, nie pojechał na lotnisko w Karlsruhe ale do Böblingen, dokąd telefonicznie skierowano jego samolot. Innym znów razem, leciec do Norymbergi, zobaczył wokół lotniska tłumy ludzi oczekujące na jego przylot. Okazało się, że gestapo znów „puściło farbę”. Hitler natychmiast nakazał leciec pilotowi dalej do Fürtu i tam dopiero lądować. Z Fürtu zaś przyjechał do Norymbergi samochodem przez kilka godzin. W pewnych miejscach władzy Hitlera eskadra rządowa składała się z sześciu maszyn „Ju 52”. Jednak z biegiem lat wzrosła do 40 samolotów, spośród których trzynaście stanowiły potężne na ówczesne czasy,

czterosilnikowe Focke-Wulf „Condor”. Wszystkie one, a zwłaszcza samoloty używane przez Hitlera, były pilnie strzeżone przez SS i policję. Na każdym z nich znajdował się przez cały czas SS-mann i funkcjonariusz gestapo, a przy wszystkich przelazach musiał być z nimi również czołownik z członków rządu, samolot przewidziany do lotu po starannym przeglądzie na ziemi, odbywał 10-minutowy lot próbny na wysokości około 1200 m. Chodziło bowiem o sprawdzenie, czy przypadkiem na pokładzie nie znajduje się bomba z zapalnikiem barometrycznym. Od lata 1940 r. w skład eskadry weszły czterosilnikowe „Condory”, z których każdy był uzbrojony w 4 karabiny maszynowe. Pod wszystkimi siedzeniami umieszczono spadochrony, zaś przy siedzeniu Hitlera znajdowała się dodatkowa zapadnia. W razie niebezpieczeństwa wystarczyło pociągnąć za czerwony uchwyt, a metr kwadratowy płoty wypadł i Hitler mógł wyskoczyć ze spadochronem. Później w 1944 r. mechanizm ten został jeszcze bardziej usprawniony.

Jeśli chodzi o inne środki lokomocji, jak pociąg czy samochód, to Führer wyraźnie ich unikał na korzyść samolotu. Pomijając tu jego znaną fascynację nowoczesną techniką, uważał, że możliwości zamachu na pociąg lub samochód są daleko większe niż na dobrze strzeżony samolot. Na torach można bowiem łatwo położyć miny, a o przejazdach Hitlera op. z Berlina do Monachium musiały być powiadomione setki kolejarzy, co praktycznie czyniło niemożliwym zachowanie tajemnicy jego podróży. Z samolotu Führer korzystał znacznie częściej niż z pociągu, toteż nicy tak co do celu jak i terminu swymagał ścisłego przestrzegania tajem-

licz wojaży. Zazwyczaj za sofer i ewentualni współtowarzysze podróży dowiadawali się o tym dopiero na krótko przed odjazdem. Do ostatniej chwili nie wiadomo było również, na który z samochodów padnie jego wybór. Jak sam wspominał w 1942 r., podczas niekórych swych takich jak i Maja, Dzień Pamięci Bohaterów (Heldengedenktag) lub 9 Listopada, kiedy to musiał korzystać z samochodu, wydawał polecenie, aby o jego przyjeździe nie informować nawet policji, a szoferowi swojej ochrony, Hansowi Rattenhuberowi i szoferowi Erichowi Kempe, nakazywał utrzymać co do tego tak dalece ścisłą tajemnicę, że nie mieli o tym prawa wiedzieć nawet najwyżsi palladyni hitlerowskiej, jak Göring, Goebbels czy Himmler.

Niejednokrotnie zdarzało się jednak, że tajemnicy nie udało się utrzymać, zwłaszcza gdy Hitler jechał otwartym wozem, ulice zapelniały się wówczas w krótkim czasie takimi tłumami ludzi, że czasami opóźniały one przejazd nawet o godzinę. Wtedy istniało największe niebezpieczeństwo wykonania skutecznego zamachu pomimo, iż wśród tłumów kreśliło się pełno agentów gestapo w swych charakterystycznych skórzanych płaszczach. Dłaczego więc opozycja antyfaszystowska z tego nie skorzystała ani razu? Wydaje się — patrząc z perspektywy dnia dzisiejszego na ówczesne poczynania tejże opozycji — że planowała ona wprawdzie usunięcie dyktatora drogą zamachu, lecz bez uciekania się do działań krwawych np. zamachu w stylu Sarajewa, preferując raczej aresztowanie Hitlera. Poza tym potencjalni zamachowcy, którzy mogliby takiej akcji dokonać, w większości znajdowali się od dawna w obozach koncentracyjnych, lub na emigracji, albo też należeli już

JESZCZE RAZ O FATUM

W nr 6 „Odgłosów” w rubryce „Proszę o głos” ukazała się pełna nieścisłości wypowiedź Konrada Frejdliha pod wymownym tytułem „Fatum”, dotycząca subskrypcyjnej sprzedaży książki.

Skoro zaczęliśmy od łaciny, to pozwólmy sobie i ja z niej skorzystać jako, że „audiat et altera pars” — trzeba wysłuchać i drugiej strony w celu dania świadectwa prawdziwości, gdyż „amicus Plato, sed magis amicus (est) veritas”, co oznacza — przyjaciel Plato, lecz w większym stopniu przyjacielka jest prawda, czyli po prostu prawda jest wyższa nad wszystko.

Niestety, nie tą zasadą kierował się K. Frejdlich.

W sposób tendencyjny obarcza odpowiedzialnością za niedorozumienie terminów używania się poszczególnych tomów dzieł subskrybowanych „Dom Książki”, przypisując mu „nieodrobione i wypróbowane praktyki”, a nawet wręcz oszustwo. Przypominam sobie, iż po raz pierwszy spotykam się z takim absurdem, jak przypisywanie komuś winy za coś, na co... nie ma zupełnie wpływu.

Do księgarzy należy bowiem jedynie sprzedanie talonu subskrypcyjnego, a następnie wydawanie poszczególnych tomów w miarę ich ukazywania się. Natomiast, kiedy dotrą one do rąk subskrybentów, zażalenie jest jedynie od wydawcy! O tym K. Frejdlich dyskretnie wspomina dopiero w dalszej części swej wypowiedzi, już po początkowym kilkakrotnym wymienieniu „Domu Książki” jako jedynego winnego. Uważam także przedstawienie sprawy za wysoczenie nieuczciwe i krzywdzące tę instytucję.

„Dom Książki” jest posiadaczem bogatej kolekcji listów wydawców, przepraszających za opóźnienia w realizacji szeregu subskrypcji. Przypuszczam, że listy takie otrzymał również K. Frejdlich i zdaje sobie sprawę z rzeczywistych przyczyn opóźnień.

Nie chciałbym wyreczać wydawców, jednak wobec postawienia konkretnych zarzutów „Domowi Książki”, czuję się zobowiązany do równie konkretnego ich skomentowania.

K. Frejdlich pisze, że subskrybenci „Dzieł wszystkich” J. Słowackiego, w roku jubileuszowym PRL będą obchodzić jubileusz kolejnego niedorozumienia umowy przez „Dom Książki”. Tymczasem we wrześniu 1967 roku „Ossolineum” wystosowało pismo do Szanownych Subskrybentów „Dzieł wszystkich” Juliusza Słowackiego, w którym wyjaśnia, iż w związku ze śmiercią prof. J. Kleina wydawnictwo znalazło się w kłopotliwej sytuacji, gdyż nie zdążył on opracować ostatnich dwóch tomów, tzn. „Księga Ducha”. Swoją list kończy wydawca następująco:

„Dyrekcja Wydawnictwa wyraża uprzejme ubolewanie z powodu opóźnienia zakończenia subskrypcji „Dzieł wszystkich” J. Słowackiego z przyczyn od niej niezależnych, liczy na zrozumienie ze strony Szanownych Subskrybentów w powstałej sytuacji i zapewni, że dokończy wszelkich starań, aby edycja „Dzieł wszystkich” została zakończona w przewidywanym terminie”.

A miał być to rok 1971. Jak wiemy, tak się nie stało, co dało okazję niektórym subskrybentom do ataku na... „Dom Książki”, nie mający najmniejszego wpływu na bieg wydarzeń i nie dysponujący możliwościami, jak to jest powszechnie stosowane, nakładania np. kar umownych na kooperantów za niedorozumienie terminów.

W przypadku „Dzieł zebranych” S. Wyspiańskiego znowu „Komitet Redakcyjny” Wydawnictwa natrafił na znaczne trudności w gromadzeniu dokumentacji filologicznej i ilustracyjnej, stąd przysłał do odbiorców jak i przykre dla wydawnictwa opóźnienie w realizacji wydania, jak głosi pismo Wydawnictwa Literackiego.

Z kolei PIW dopiero na interwencję Zjednoczenia Księgarstwa wyjaśnił, iż... nie jest w stanie podać terminu wydania poszczególnych brakujących tomów „Dzieł wszystkich” C.K. Norwida, ponieważ nie wywiązuje się z umowy wydawca J.W. Gomułka i wydawcy pozostaje jedynie przeprosić tak subskrybentów naszej edycji jak i kolegów księgarzy.

„Niezmiennie nam przykro, że nie wywiązaliśmy się z podjętego zobowiązania i musimy się wstydić za nie swoje winy, których nawet naprawić nie jesteśmy w stanie” (sic!)

Sytuację z „Wielkim słownikiem polsko-niemieckim” K. Frejdlich naświetlił nieco w swej wypowiedzi, ale i tu nawet śmierć współautora słownika nie przeszkodziła obciążyć winą „Dom Książki”.

Wreszcie „Encyklopedia Powszechna” PWN. Podział na, jak to określa K. Frejdlich, niebieskich i zielonych, wynika z tego, iż początkowo planowany był nakład 300.000 egzemplarzy, na który wydrukowano talony w kolorze niebieskim. Okazało się, że on nie wystarczający i wydawnictwo zdecydowało się na dodatek wydanie partii talonów oznaczonych kolorem zielonym. O tej sytuacji informowała prasa, widocznie jednak K. Frejdlich przeczył te wyjaśnienia.

Swoją drogą przypuszczam, iż PWN, który, co z całym uznaniem należy podkreślić, podjął także szlachetną społecznie decyzję zwiększenia nakładu, byłby wdzięczny K. Frejdlichowi za radę, jak jednocześnie wydrukować ponad pół miliona egzemplarzy „Encyklopedii Powszechnej”, a tym samym zadowolić wszystkich.

Tak więc przedstawiają się fakty i głębokie zdumienie musi budzić taka jednostronna interpretacja, chyba że było to celowe. Jedną z arabskich mądrości głosi: „Kłamstwo jest uważane za piękne jedynie u poetów”. Nie wątpię, iż w K. Frejdlichu drzemie głęboki talent poetycki, choć obecnie znany jest przede wszystkim jako prozaik. Po raz drugi w krótkim odstępie czasu raz do atak chybiony, jako że wychodzący z fałszywych założen, innym być nie może. Czyżby jakieś fatum ciążyło nad Konradem Frejdlichem?

ADAM NONAS

Urodziła się 5 VI 1879 r. w Szczercowie z ojca Antoniego i matki Elżbiety Marii z Gaertnerów Chlebowski — oficjalistów dworskich. Wychowywała się w atmosferze kultu dla niedawno stłumionego powstania. Wychowanie owo, pełne mitów i legend rodzinnych, nie pozostało bez wpływu na przyszłą pisarkę.

Rodzice Antoniny Sokollec zadali o gruntowne wykształcenie dziewczynki. Nauki początkowe pobierała w domu. Uczęszczała następnie do lódzkiej pensji prowadzonej przez Julię Jezierską, którą ukończyła w 1896 r.

Pracując jako nauczycielka w domach prywatnych kształciła się równocześnie na kursach dramatycznych prowadzonych przez zasłużonego dla scen lódzkiej aktora, Karola Kopczewskiego. Kursy te ukończyła w 1899 roku. Występowała na scenach Kalisza, Piotrkowa, Płocka, Poznania, Kijowa, Lwowa i Mińska. Za dyrekcji Kotarbińskiego pracowała również w krakowskim Teatrze Miejskim, gdzie z powodu niewielkiego zasobu aktorskich doświadczeń, grywała najczęściej „ogony”. Dla potrzeb teatru przyjęła pseudonim: Sokollec.

Jej niezbyt klasyczna uroda sprawiła, że kierownictwo teatrów nie powierzało jej upragnionych ról amantek. Rychło porzuciła scenę. Teatru jednak nie zdradziła nigdy, to pisząc szereg szkiców i obrazków dramatycznych, to prowadząc w latach 1919—1922 „Scenę i Lutnię Robotniczą”.

W 1902 r. wstąpiła do PPS. W 1905 roku, wśród rekwizytów teatralnych przewoziła broń i bibułę partyjną. Właśnie w 1905 r. w więzieniu w Suwałkach rozpoczęła swoją „karierę” więźnia politycznego. Uwolniona po obronie adwokata Stanisława Patki — musiała opuścić Królestwo.

W 1908 r. wyjechała do Paryża, aby studiować nauki społeczne na Sorbonie. Po powrocie do kraju, z okazji setnej rocznicy urodzin poety, opublikowała szkic pt. „Juliusz Słowacki. Życie i dzieła poety”. Rozprawka przeznaczona była dla robotników. Autorka zawarła w niej ciekawe anegdoty z życia poety, Bronia twórczość Słowackiego przed zarzutem elitaryzmu.

W 1912 roku w Krakowie poznała Lenina. Od tego czasu datuje się kult, jakim otaczała przyszłego wodza Rewolucji. Leninowi zawdzięczała swoje późniejsze zrozumienie taktyki politycznej bolszewików.

W 1914 r., na krótko przed wybuchem I wojny światowej, jako emisariuszka Pilsudskiego udała się do Rosji. „Szlakami tułactwa polskiego” objechała z prelekcjami skupiska Polaków. Była więc na Kaukazie, na Syberii, w Mandżurii, a nawet przez granicę chińskiego dotarła do Szanghaju. W 1917 r. w Kijowie, tuż po zwycięstwie burżuazyjno-demokratycznej rewolucji lutowej, opublikowała broszurę agitacyjną pt. „Ideologia Pilsudskiego”.

Jej niechęć do Józefa Pilsudskiego datuje się od chwili, gdy stała się świadkiem wybuchu i zwycięstwa Rewolucji Październikowej. Mimo chaosu i wojny domowej, w których pograżyła się Rosja, potrafiła docenić doniosłość pierwszego w świecie trwałego zwycięstwa proletariatu. W 1918 roku wróciła do Polski i na stałe osiedliła się w Warszawie. Wkrótce potem wyszła za mąż za inżyniera Ludwika Merkla, bezpartyjnego, acz szczerze z ruchem rewolucyjnym sympatyzującego. W 1920 roku wystąpiła do KPRP.

Pod wrażeniem Rewolucji Październikowej napisała w 1920 r. szkic dramatyczny pt. „Pieśń”, przeznaczony dla potrzeb robotniczych teatrów amatorskich. Pod postacią Maksyma Piatkowskiego bohatera utworu, kazała domyślać się czytelnikom Lenina. Zadaniem „Pieśni” było ukazanie

widzowi polskiemu drobnego wycinka Rewolucji. „Pieśń” nie jest na pewno utworem dobrym, ale spełnia swe zadanie. Cieszyła się w dwudziestolecie międzywojennym ogromną popularnością wśród robotników.

W latach 1919—1921 (w styczniu 1922 r. MSW rozwiązało teatr) prowadziła „Scenę i Lutnię Robotniczą”. W ciągu dwu lat działalności utalentowani robotnicy-amatorzy wystawili m. in. „Tkaczy” Hauptmanna, „Miłosierdzie ludzkie” Nowaczyńskiego, „Ostatni dzień Komuny Paryskiej” Lwowa i „O człowieku, który redagował gazetę rolniczą” Twaina. Najstarszemu przygotowanemu „Tkaczy” Hauptmanna. Repertuar teatru nie był realizowany wyłącznie siłami robotników. Ze „Sceną i Lutnią Robotniczą” współpracowali aktorzy zawodowi, m. in. Aleksander Zelwerowicz.

W 1912 r. członkowie zespołu wydali jednodniówkę pt. „Scena i Lutnia Robotnicza”, stanowiącą ważny głos w sprawie teatru robotniczego, odgrywanego w dwudziestolecie niebagatelną rolę. Zdawano sobie bowiem sprawę z możliwości jego oddziaływania na szerokie masy, z jemu tylko właściwej zdolności tworzenia kultury w akcie zbiorowego działania. Nowy teatr miał zniwelować rozdział między

klasą odczytową do USA. Wygłaszane przez nią prelekcje obracały się wokół bardzo różnorodnych zagadnień. Omawiała twórczość Mickiewicza, Słowackiego, ale jednocześnie wskazywała na konieczność powstania odrębnej kultury proletariackiej. Pieniądze uzyskane dzięki odczytom przeznaczala na pomoc więźniom politycznym i po powrocie do kraju przekazała je na ręce Stefani Sempołowskiej. W 1925 roku opublikowała szkic monograficzny o Londonie „Jack London. Życie i twórczość”.

W 1925 r. nakładem moskiewskiej „Trybuny Ludu” ukazał się jej bardzo cenny szkic pt. „O twórczości Żeromskiego na tle rozwoju społecznego w Polsce”, będący pierwszą próbą marksistowskiej oceny dzieł wielkiego pisarza, a jednocześnie jeszcze jednym głosem w dyskusji o „Przedwiośnie”. Przed Julianem Brunem-Bronowiczem wykazała, że Żeromski nie rozumiał idei walki klas. Podkreślała jednak:

„Żeromski zawsze był i jest uczciwym pisarzem. Nigdy ani jednym słowem nie zniżył się do plugawego oszczerstwa, zawsze miał odwagę podnieść każdą czystą intencję, zawsze miał kult dla czystej idei”.

W kręgach literackich nazwisko wyrobiło jej dopiero opublikowane pod koniec 1934 r. „Cysarskie ciecacie” powieść, którą zainteresowali się krytycy tej miary co: Stanisław Baczyński, Emil Breiter, Tadeusz Breza, Kazimierz Czachowski czy Tadeusz Sinioko. Idąc śladami „Kordiana i chłama” Kruczkowskiego (1934 r.) „odbrażała” powstanie styczniowe. Jej ocena roku 1863 jest jednak niesprawiedliwa. Oskarżyła szlachtę polską o to, że bojąc się nowej rebelii chłopskiej świadomie nadała powstaniu profil demonstracji zbrojnej. Aby uwypuklić zdradę szlachty, przeciwstawiła jej pełnych poświęceń dla sprawy narodowej kolonistów niemieckich, których stosunek do powstania był w rzeczywistości najczystszy. Pominęła całkowity milczeniem rolę, jaką w 1863 r. odegrało mieszczaństwo.

Utrzymując stały kontakt z postępowymi ośrodkami emigracji polskiej w Ameryce, wyjechała wiosną 1935 roku do Kanady. Tu jej „wywrotową” działalnością zainteresował się konsul polski, Pawlica. Po powrocie do kraju pisarkę aresztowano i osadzono na Pawiaku. Jesienią 1936 r. w sprawie jej uwolnienia wystąpili obradujący w San Francisco pisarze amerykańscy. Rezolucje protestacyjne uchwałyły organizacje Polonii amerykańskiej. Uwolnienia tłumaczki swych powieści domagał się również Upton Sinclair.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej pod pseudonimem Arthur H. Tucholski opublikowała „Porywy”, powieść traktującą o początkowym etapie działalności pierwszych polskich socjalistów. Zadaniem, jakie postawiła przed swoją powieścią, było ukazanie etapów kształtowania się polskiej myśli socjalistycznej i koncepcji walki o wyzwolenie klasy robotniczej u przyszłych założycieli Wielkiego Proletariatu. Akcja utworu rozgrywa się w latach 1876—1880, a więc od chwili przybycia Ludwika Waryńskiego do Warszawy, aż po zesłanie pierwszych polskich socjalistów na Sybir. Zmudne i staranne studia historyczne autorki sprawiły, że „Porywy” stanowią rodzaj monografii pierwszego okresu działalności tych ludzi.

Lata okupacji spędziła w Warszawie. Była jednym z założycieli „Towarzystwa Przyjaciół Związku Radzieckiego”. Artykuły oraz okolicznościowe odczyty zamieszczała w biuletynie radiowym „Więści ze świata” oraz w konspiracyjnym piśmie „Zwycięzcy”. W lipcu 1941 roku zmarł Ludwik Merkel. Po śmierci męża na długi czas pograżyła się w apatii. 28.IV.1942 r. została aresztowana przez gestapo i osadzona na Pawiaku. W listopadzie 1942 r. wysłano ją do Oświęcimia i zarejestrowano pod numerem 25995. Zmarła w Oświęcimiu 20.XII.1942 r.

Twórczość Antoniny Sokollec zespółła się ściśle z czynnym życiem działaczki i komunistki. Była podporządkowana wyznawanej przez pisarkę ideologii. Ale wartość literackich dokonań autorki „Świata twardej ludzi” leży nie tylko w ideowości jej utworów i w wadze jej przekonań. Twórczość ta, będąc świadectwem pierwszych doświadczeń polskiej sztuki socjalistycznej, stanowi tym samym dokument epoki.

DOROTA
CHRÓSCIELEWSKA

ZACZEŁA OD TEATRU

sceną a widownią. Autorzy jednodniówki próbowali ustalić stosunek eksperymentalnego teatru do teatru „starego”. W rozważaniach swych nie lekceważyli osiągnięć Craiga, Reinhardta, Stanisławskiego, Meyerholda, a z Polaków: Wyspiańskiego, Pawlikowskiego, Osterwy, Zelwerowicza, Wysokiej i Drabika. Widzeli konieczność stworzenia dla nowego teatru nowego repertuaru mającego ścisły związek ze zbiorowością i mającego wyraźne zabarwienie klasowe.

W 1921 r. wydała Antonina Sokollec broszurkę pt. „O kulturze artystycznej proletariatu”.

„Na wielkich placach tysiące współuczestników amatorów — pisała — odwarzać będzie całe zdarzenia historyczne, katastrofy dziejowe lub zwyczajne ludów. (...) Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej wstrząsającego, jak „Kłatwa” Wyspiańskiego, na tle najprawdziwszej wsi kościelnej, w którym to widowisku oprócz głównych postaci granych przez siły pierwszorzędne, będą uczestniczyli wszyscy mieszkańcy wsi, całą gromadą”.

W 1921 r. opublikowała szpie pt. „Walt Whitman”, omawiający życie i twórczość Proroka Przyszłości. W kwietniu 1923 r. na blisko rok wyjechała z ramienia Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucji z ak-

Na początku 1926 r. wyjechała po raz wtóry do USA, aby pomóc emigrantom w redagowaniu wydawanego w Chicago tygodnika pt. „Trybuna Robotnicza”. Udała się do Kalifornii, gdzie poznała głosiącego w owych latach, związanego z lewicą pisarza amerykańskiego, Uptona Sinclaira. W przyszłości miała przetłumaczyć kilka naciągów jego powieści. Zwiedziła Stany Zjednoczone. Urok osobisty i jej elegancja (Sokollec należała do najlepiej ubranych kobiet przedwojennej Warszawy) sprawiły, że nie miała trudności w podróży po USA. Do Polski wróciła w 1929 r. W drodze do kraju zwiedziła młode państwo radzieckie.

Wrażenia z pobytu w ZSRR zawarła w swej debiutanckiej, wydanej pod pseudonimem Elisabeth Maria Gaertner, powieści pt. „Świat twardej ludzi”. Utwór napisała w modnej wówczas konwencji reportażowej. Akcja „Świata twardej ludzi” rozgrywała się w początkowym okresie realizowania pierwszej 5-letki. Umięszczała akcję utworu w tych trudnych i przełomowych dla młodego państwa latach, starała się pisarką jak najdokładniej odtworzyć atmosferę tamtych czasów i jak najobiektywniej przedstawić stosunek obywateli radzieckich do posunięć taktycznych WKP(b). Dementowała w tej książce

KSIAŻKA

LIRYCZNA PRZYGODA W KOLCHIDZIE

„Oczy nawykłe patrzeć w górę — umiały znaleźć słońce w ziemi” — te słowa, będące wyznaniem wiary w człowieka i jego siłę, zawarł Igor Sikirycki w swym „Credo”, wierszu pochodzącym z debiutanckiego zbioru „Wolanie drzew”. Ową poetycką arkusz Igora Sikiryckiego przypomniałam nie bez przyczyny. Wyznaczył on bowiem kierunek twórczych poszukiwań, których kolejną kontynuację — i o niej właśnie chcę parę słów powiedzieć — stanowi tomik zatytułowany „W stronę Kolchidy”.

Lektura zgromadzonych tu liryków pobudza do głębszej refleksji. Sikirycki jawi się jako poeta żywych dramatów współczesnego człowieka, o czym świadczą także choćby wiersze, jak „Ziemia”, „Przypisy do Apokalipsy”, „Gagarin” czy „Międzygwieźdnie”. Kunst tej poezji został ujęty w karby rygorów myślenia humanistycznego, przejawiającego się troską o zachowanie, a nawet ochronę, dotychczasowych osiągnięć ludzkiego intelektu i talentu.

Ważnym nurtem w poezji Sikiryckiego jest kontakt z przyrodą i jej walory nastrojowe. Dostrzec tu można skłonność do obrazowego notowania wrażeń, do ujęcia impresyjnego:

Tam kary granit stanął dęba,
skalnym kopytem przebił niebo
i raniąc chmury grzywą granit
zamari przeszyty kiem lodowca.

(„Kaukaskie”)

Zetknięcie z przyrodą wyzwała wzruszenie, pozwalała na szczerze, głębokie przeżycie:

Najpierw płem z pragnienia
.....
potem z ciekawości
która jest pierwszym stopniem
.....
a jeszcze później tylko z
.....
schodów
.....
pożądania
.....
prawdy
.....
leżącej na dnie

trzema haustami
płem jezioro
ten przechodni puchar trzęsienia
ziemi

(„Płem Sewan”)

Przyroda i niezwykły pejzaż składają do zadumy nad sobą, nad przebytą już drogą. W nowych wierszach Sikiryckiego rozbrzmiewają rzewne nuty przywołujące dzieciństwo („Drewniany koń”, „Rzeka”, „Płem Sewan”), po którym zostały tylko wspomnienia.

Igor Sikirycki gozafasynowała niewątpliwie egzotyka Armenii, egzotyka, która dostarcza nie tylko emocji, ale i materiału twórczego. Zaletą tej poezji jest to, że nie ogranicza się do jednej tylko płaszczyzny. Obok wrażeń wywołanych nowym krajobrazem poeta usiłuje jak najpełniej wydobyć sprawy ludzkie. Ow humanizm stanowi — moim zdaniem — największą wartość wierszy Sikiryckiego.

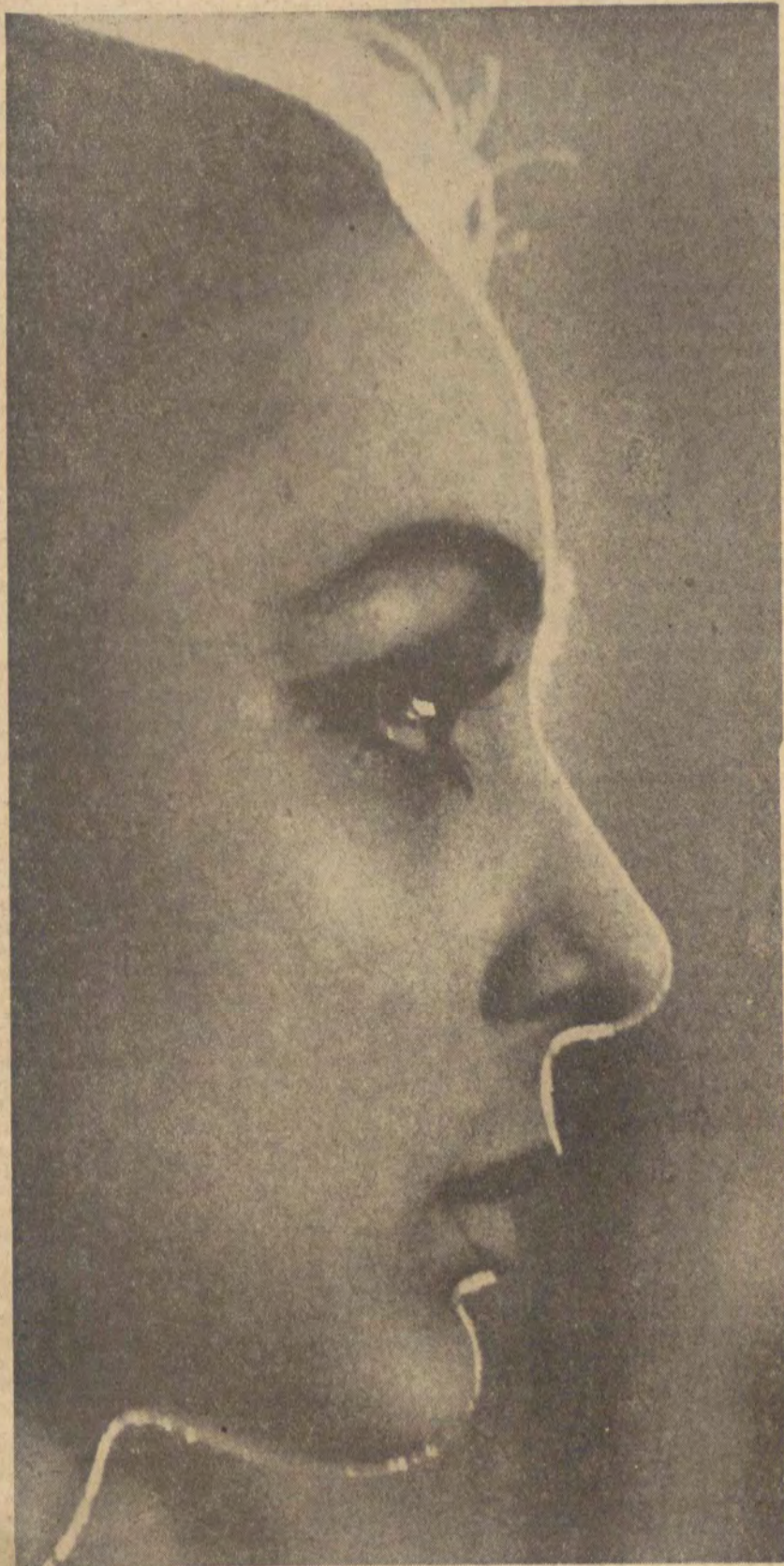
Twórczość poetycka autora tomiku

„W stronę Kolchidy” jest świadomym nawiązaniem do tradycji. Bez trudu odnajdziemy tu ślady utworów renesansowych, a także echa twórczości Broniewskiego czy Tuwima. Poeta jest zreczyn stylizatorem odwołującym się do archetypów czy mitów, a literackie i kulturowe wzorce służą mu do konfrontacji z teraźniejszością. W szczytach i autentycznych wierszach potrafi autor odnaleźć ciągłość ludzkich losów.

Igor Sikirycki krocząc ku Kolchidzie, wydał poezję rozbrzmiewającą reminiscencjami, poezję, która umie rozwijać własny krąg zagadnień, stając się wzruszeniem i liryczną przegodą.

GRAŻYNA KOMPTEL

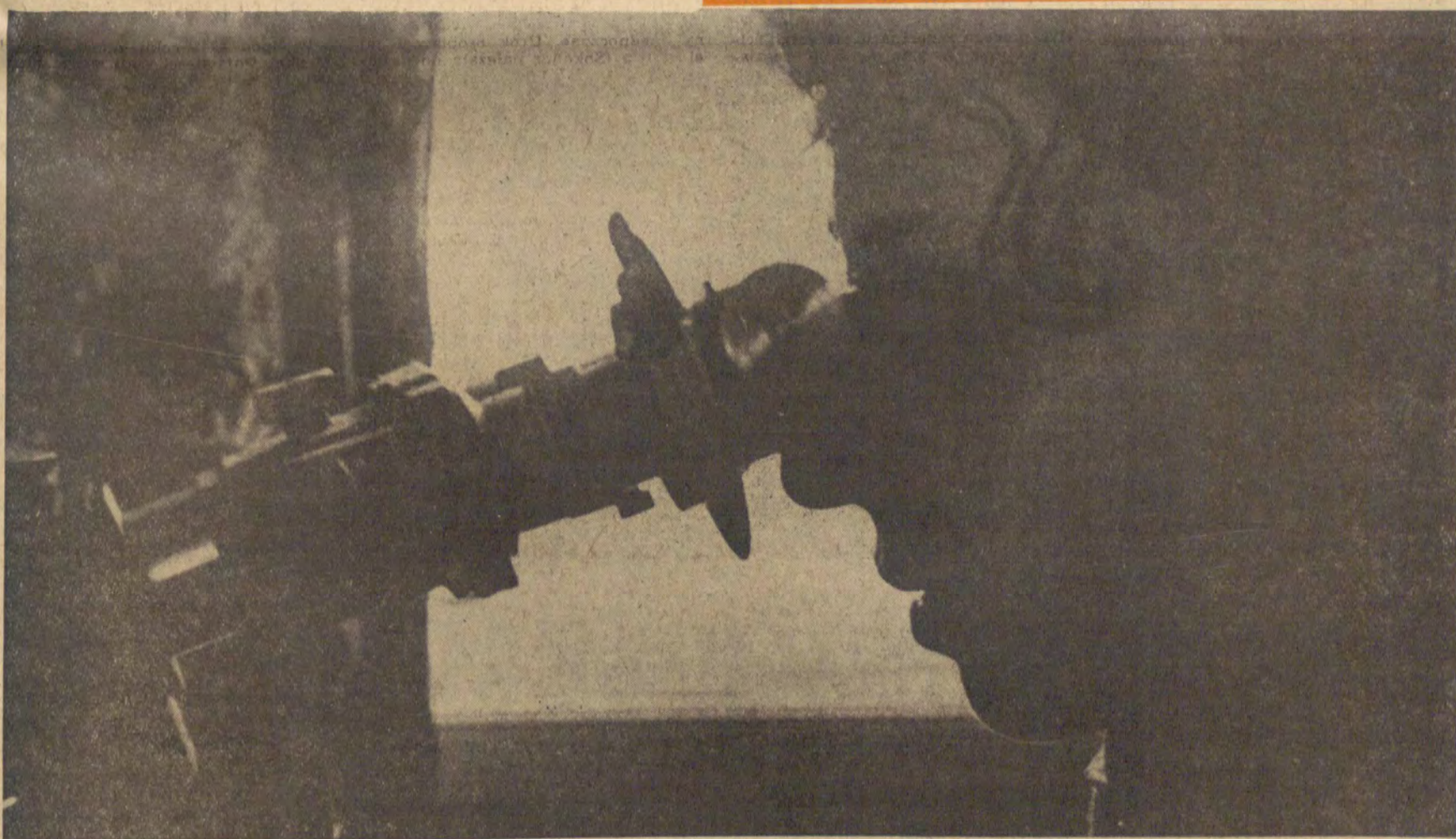
91. Sikirycki, „W stronę Kolchidy”, Łódź 1973, Wydawnictwo Łódzkie.



KOBIETA

FOTO;

WŁODZIMIERZ PARYS



KOBIETY MÓWIĄ



EUGENIA PILAT — pracownica
ZPW im. Gwardii Ludowej

Ja nie potrafię usiedzieć za biurkiem, nie mam nic wspólnego z tradycyjnym pojęciem personalne. Lubię znać ludzi nie tylko z ankiety osobowej. No, a ponieważ sama jestem kobietą, najbardziej interesują mnie moje koleżanki, ich kłopoty i troski, małe radości i smutki. Wiem, której urodził się syn, a która za kilka dni pójdzie do urzędu stanu cywilnego. To ogromnie pomaga. Dlatego nie ma się czemu dziwić, że często powtarzam, iż moje osobiste marzenia są takie same jak większości kobiet — nie ma sensu ukrywać, że najważniejsza jest rodzina. Bardzo się cieszę z zapowiedzi, że w tym roku będzie sześć wolnych sobót. Dla kobiety to wiele znaczy jeden wolny dzień więcej, chociażby raz na dwa miesiące. A przecież w przyszłym roku ma być co miesiąc. Będzie więc czas na gruntowniejsze przeplecki, na zajęcie się dziećmi bez zarywania nocy. Oczywiście nie chciałabym tych wolnych sobót przeznaczać tylko na pracę w domu. Marzyłyby się nam wyjazdy na sobotnio-niedzielne weekendy z całą rodziną.



STANISŁAWA MACIAK — LZPB
im. obrońców Pokoju

— W ciągu ostatnich trzech lat udało nam się dorobić stołówek na każdym wydziale. Wydajemy teraz prawie trzy tysiące obiadów każdego dnia. Jest to ogromna pomoc dla kobiet, zwłaszcza, że do centralnej stołówki mają dostęp członkowie rodzin nie zatrudnieni w naszym zakładzie. Niektóre kobiety, mające małe rodziny, zabierają nawet obiady z sobą do domu. A więc odpada stanie w kolejkach, pichcenie posiłków. Obiady są smaczne, zresztą same pilnujemy tego, żeby były robione po domowemu. Gorzej jest natomiast z wieczorami. Istnieje i działa tylko jeden ośrodek w Teofilowie. Budujemy następne w Dzwirzynie i Piwnicznej. Każdy z nich obliczony na 500 miejsc w turnusie. Sporo mamy do zrobienia jeżeli chodzi o usługi dla kobiet. Uruchomiliśmy punkt krawiecki, w którym pod fachowym okiem instruktorki szyje się nie tylko ciuszki dla pociech, ale i dla siebie. Chcemy być nie tylko modnie ubrane, ale i zadbane. Myślimy więc o założeniu własnego zakładowego punktu kosmetycznego. Powinno nam się udać.



JADWIGA GNIEŹDZIŃSKA —
pracownica SDH „Central”

Lubię swoją pracę, cieszy mnie, jeśli mogę klientowi coś doradzić, pomóc mu w wyborze tego najlepszego towaru. Jeśli wychodzi od nas zadowolony. A

KOBIETY MÓWIĄ

Dalszy ciąg ze str. 7

moje marzenie? Sześć lat się z nimi żyło z moim mężem, pobraliśmy się w listopadzie ubiegłego roku. I marzyliśmy o własnym mieszkaniu. Na razie żyjemy kątem u rodziców, ale odkładamy co miesiąc tysiąc złotych z każdej pensji. Już widzę jak będzie wyglądało to moje mieszkanie. Jeden pokój wyposażony zostanie w nowoczesne meble, a drugi w dziewiętnastowieczny styl. Myślmy nie tylko o mieszkaniu, ale i o rodzinie całą gębą. Chciałabym mieć parę dzieci — córeczkę i syna. Ale najpierw córeczkę.



JANINA SUSKA-JANAKOWSKA
— dyrektor administracyjno-handlowy ZPW im. Barlickiego

— Trudno mi jest przypomnieć sobie, kiedy ja tu przyjechałam po raz pierwszy do zakładu. To tak dawno, że prawie zapomniałam. Rozpoczęłam pracę w czasie okupacji. Oczywiście nie jako dyrektor. Awansowano mnie później — w 1951 roku. Byłam chyba pionierką w przemyśle włókiennym. O nie, kłamię: pierwszą kobietą-dyrektorem w przemyśle włókiennym była pani Kozłukowa. Była naczelnicą w obecnym „Łódzkiej”. Miałam łatwiejszą sytuację aniżeli Kozłukowa, bo moja matka była długoletnią robotnicą w tychże zakładach. Tak, że wszyscy traktowali mnie jak swoją, można powiedzieć — dziecko zakładu.

W zakładzie daję sobie radę z zarządzaniem, tak przynajmniej sądzą. Natomiast w domu już nie tak łatwo. Mój mąż jest oficerem, a ja tylko szeregowcem. To wcale nie oznacza, że on jest głównodowodzącym. Co prawda jest kapitanem, ale musiał uznać generałską wyższość babci, która z wynikiem tworzy koalicję przeciwko nam. Najbardziej jednak mnie i męża nie ma w domu — wynika niemożności w praktyce czasu pracy. A poza tym tu i ówdzie człowiek się zaangażował. Tak więc dom na głowie babci.



ADELA PATORA — pracownica „Cepelli”

Kiedy przejdę na emeryturę, to zajmę się nie tylko domem, ale i kwiatami. Tymi w pokoju, na balkonie i na działce. Bo muszę się przynajmniej trochę wlasnieleścią 400-metrowej działki na Franciszkańskiej. Tak naprawdę to zajmuję się działką wówczas, kiedy odwiedza mnie Zielony Rynek. Zawsze tam można było dostać świeże warzywa i owoce. Skoro już się zdecydowałam na likwidację targowiska, to powinno się zwiększyć ilość sklepów z warzywami, czy nawet zwykłych straganów. Oczywiście dobrze zaopatrzonej. Trochę to śmieszne, jeśli kupienie świeżej pietruszki uraża do problemu. I trudno o to nie mieć pretensji do handlowców.

Za rok przejdę na emeryturę. Ale w swojej pracy zawodowej zawsze starałam się robić więcej niż to wynikało z moich obowiązków. Ostatnio już drugą kadencję jestem przewodniczącą Rady Zakładowej.

Zawsze lubiłam być wśród ludzi. Od młodości. Chyba każdy lubi wracać do wspomnień ze swojej młodości. Bardzo żałuję, iż dzisiaj więcej czasu spędza się przy telewizorze niż na wspólnych zabawach, majówkach, wycieczkach. Ja tam nawet na emeryturze nie usiedzę w domu. Na pewno znajdę sobie jakąś pracę — trochę zawodową, trochę społeczną. Bo człowiek nie powinien spieścić.

DALEKO DO ZMIERZCHU

Dalszy ciąg ze str. 1

„Ojca zadżumionych”, rozmówiony w książkach był też starszy brat, rolnik; kiedy przyszła szara godzina, matka sadzała nas wokół siebie i czytała wiersze, powieści, potem była nauka na pamięć i recytacja. Proszę pana, ileż ja utworów znam na pamięć, dzisiaj dzieci się dziwią, gdy recytuję wiersze na lekcjach, a to wszystko z dzieciennych lat, przecież „Trenów” uczyła mnie moja matka...

Moje lata szkolne przypadły na czas kryzysowy, które dosięgły także naszego domu. Nic nie wskazywało na to, że zostanę nauczycielką, ale kiedyś przyjechał do szkoły inspektor, który wizytował lekcję języka polskiego. Bardzo się angażowałam w czasie tej lekcji, paplałam bez przerwy i popisywałam się dyskutując z inspektorem na temat zakończenia „Trylogii”. Ten przypadek zadecydował, gdyż za namową inspektora i kierownika szkoły wstąpiłam później do Seminarium Nauczycielskiego w Zgierz. Uczelnia dała mi nowoczesne przygotowanie do zawodu, wyniosłam z niej zacięcie do spraw pedagogicznych i głowę pełną ideałów: jeszcze w trakcie nauki, jako członkini PCK, chodziłam po biednych domach dzieci robotników, udzielając niezbędnej pomocy oraz udzielając bezpłatnych lekcji.

Teraz zechciałby pan pewnie odnotować coś na temat mojej pracy, proszę więc zaznaczyć, że wszystkie miejscowości, które za chwilę wymienię, leżą wokół Bolesławca, nigdy bowiem nie oddalałam się zbytnio od miejsca urodzenia.

Zaczęłam we wsi Wójcin jako bezpłatna praktykantka i tam też mieszkałam na kwatery, prowadząc zajęcia popołudniowe. Po miesiącu pracy miałam wizytację, która wypadła bardzo pomyślnie, dzięki czemu wkrótce otrzymałam kontrakt w Lubnicach, gdzie do dziś ludzie wspominają organizowane przeze mnie przedstawienia, te bowiem zawsze były największą pasją mojego życia.

Ale jak dotąd, wszystko to jest suche, szare, banalne, a pan drzy z niecierpliwością, żeby wyciągnąć ze mnie coś niezwykłego, o posmaczkę sensacyjną. Może połowicznie zaspokoję pańską ciekawość, chociaż i tego nie jestem pewna, jeśli powiem o mojej pierwszej samodzielnej placówce.

Dostałam więc tę jednoklasówkę w Jeziorcu. Była to dzika wieś, leżąca pośród bagien, dwa kilometry od przystanku samochodowego przy lichej szosie; wieś, gdzie pokutowały i straszły złe duchy, albo też młodość dzikusa, miażdżące, szczerzące i łomocące w szyby po nocach. Inspektor, kiedy stanął przed nim z gotowością podjęcia pracy w Jeziorcu przyrzekał mi się podzielić i powiedział: „Pani Marysiu, ciesz się, że wreszcie zapchnięły tę dziurę, skąd wszyscy uciekali, ale muszę przestrzec; posyłałam tam siłaczy, posyłałam odważne kobiety. Jeden walczyl ze wsią za pomocą rękoczynów, drugi zmarł na białaczkę, a jeszcze inna nauczycielka strzelała z flowej

ru. Wszyscy dali tyły. Może pani pokona i zjedna tę wieś swoją kobiecością?”...

Matka płakała i usiłowała mnie zatrzymać, twierdząc, że chleba w domu nie zabraknie, ale nie ugięłam się i poszłam z tą swoją kobiecością, ja, taka mucha, czterdzieści dwa kilo żywej wagi. Dotarłam do wsi, było jeszcze lato, wzięłam klucz od sołtysa, otworzyłam szkołę, potem otworzyłam szafę, z której wysypały się stosy śmieci. Żadnych dokumentów... Usiadłam na podłodze przy tych śmieciach i popłakałam się jak brzdąc nad zepsutą zabawką.

Zaczęłam więc jeździć po radę i pomoc do kolegi Rawickiego, nauczyciela w pobliskiej wsi, i ślecząc po nocach, zaprowadziłam dokumentację. Od matki przywoziłam chleb, na miejscu kupowałam mleko i tym się żywiłam.

Rozpoczął się rok szkolny. Zapisanych jest setka dzieci, ale w klasie garstka, bo reszta pasie krowy, kopie kartofle. Na uświadomienie rodziców szkoda czasu, zrobiłam więc zebranie Komitetu Rodzicielskiego, postraszyłam paragrafem i trochę się polepszyło. Inspektor wpadł na lustro, a ja w plac, że ledwie uporałam się z tą dokumentacją. Uśmiechnął się i zauważył, że w dzienniku jest coś nie zapisane. „Więcej pani nie mogła zrobić — powiedział — bo zrobione jest aż nadto”.

Ale to nie wszystko. Lekcji nie można prowadzić, bo skrzypią dziurawe ławki a stół taki dziwoląg żydowski, z wysokim pulpitem, ściągnięty z kantoru. Pogadaliśmy, gmina uszczęśliwiła coś z budżetu, poszłam do starosty, którzy za moją pierwszą pensję przerobili ławki, a że matka pożyczyla pieniądze, więc był i nowy stół w szkole.

„Nasza szkoła jakby odmłodziła” — powiedzieli rodzice, zebrani na pierwszym w Jeziorcu przedstawieniu, po którym chcieli koniecznie zrobić przyjęcie dla artystów. Oświadczyłam, że w kronice zapisalam o ich pomocy w budowie sceny, po czym spytałam, czy te libacje też mam odnotować. Wycofali się.

Nie wszystko jednak wyglądało tak pięknie. Kiedyś przyjechała do mnie siostra, na bagnach dopadł ją „dzikus” i omal nie zgwałcił. Wracałam nierzaz nocą do wsi, nikt w domach nie świecił, droga zalana w ciemnościach; miałam baterijkę, ale bałam się jej używać, aby nikt mnie nie dostrzegł, docierałam więc do izby przemoczonej, gdyż co chwila spuszczałam nogi do rowu, sprawdzając, czy idę drogą...

Owszem, doświadczałam kociokwów, dzikich placów pod oknami, bębnień, straszania duchami, ale nigdy histerycznie nie reagowałam. W dzień młodzieńcy kryli się za węgłami, czasem podchodzili i zaczęli nieczystą odżywką. Pewnego razu otoczyli mnie na drodze. „Przyślij tu do was — powiedziałam wówczas — bo innym było ciężko i uciekali. Czy mam się przekonać, że to była prawda?”

Zostawili ich zmieszanych, stojących ze spuszczonej głowami nad rowami...

W Jeziorcu zdałam egzaminy kwalifikacyjne. Potem przyszedł dzień, w

którym musiałam ewakuować moją szkołę...

POD SZYLDDEM FIRMY HANDLOWEJ

Spaliśmy na tobołkach, czujnie, kiedy więc o szarawce posłyszeliśmy detonację, wraz z innymi mieszkańcami wybiegłam przed dom. Detonacje powtarzały się, szły wzdłuż granicy; nad Prosną pokazały się samoloty z polskimi znakami, naliczyłam ich dwadzieścia sześć; sądziliśmy, że to nasi demonstrują siłę, ale za chwilę do Bolesławca wjechały niemieckie szpice na motocyklach, z Chrzęstcin przywieziono do lekarza postrzeloną kobietę. Tak rozpoczął się dzień pierwszego września 1939 roku...

Rozproszyła się moja rodzina, przeto zabrałam teczkę z dokumentami i ruszyłam na rowerze do głównej szosy, gdzie natknęłam się na ulanów; słyszałam ten terkot, ale dopiero ostrzeżenia żołnierzy przegnały mnie z ostrzeżonej przez Niemców szosy. Pochłonięta przez rzekę uciekinierów, parłam na wschód, podchodziłam do żołnierzy ofiarowując im pomoc, gdyż bardzo chciałam być sanitariuszką. Przyłączyło się do mnie wielu kolegów nauczycieli i wspólnie dotarliśmy do wschodniej granicy.

Nastąpił odwrót. Wysłano mnie do przodu dla sprawdzenia posterunków niemieckich; wykruzały się szeregi moich kolegów, zatrzymywanych przez Niemców. Pod koniec września, przejeżdżając dwa razy Polskę na rowerze, wróciłam do Bolesławca, aby zastać gruzy i popioły zniszczonego niemal doszczętnie miasteczka i żeby odesłać żonom dokumenty kolegów...

Znowu znalazłam się w Jeziorcu. Wiedziałam, że Niemcy nie będą nas gaskać, toteż nie traciłam czasu; prowadziłam naukę od rana do wieczora, ścigałam na lekcje dzieci w wieku przedszkolnym. Potem przyszło pismo, że nauka może odbywać się tylko w języku niemieckim. Odsławiłam więc hymn narodowy, pożegnałam się z dziećmi i wróciłam do domu, odbywszy 10-kilometrową wędrowkę, gdyż na rowerach nie wolno już było jeździć...

Był chłodny, mglisty koniec listopada, kiedy z niemieckiej Byczyny przyszedł do Bolesławca zastępy Hitlerjugend. Mundury, gole kolana, werble, orkiestra. Widziałam tę tężyźnię, to butne stapanie po naszej ziemi, tę werwę młodzieńczego życia. A w Bolesławcu spalona szkoła, ludzie nie mogący podnieść się z pogorzelisk. I los naszych dzieci. Ten obraz na zawsze pozostał w pamięci. W jednej chwili doznałam uczucia, co to jest niewola. I pomyślałam, że nie można dopuścić, aby nasze dzieci żyły w upodleniu. Trzeba je uczyć Polski...

Rozpoczęłam pracę w niemieckiej firmie handlowej pod Bolesławcem. Stałam na dworze przy wadze, sprzedając węgiel, zboże i nawozy, wieczorem zaś musiałam wykonywać robotę biurową. Za obie te czynności właściciel płacił mi 20 marek, dopiero po interwencji jakiejś komisji podwyższył stawkę do 87 marek. Ale pieniądze nie były ważne; wskutek tej roboty na dworze tak odmroziłam stopy, że potworzyły się ropiejące rany; po wyzwoleniu, jeszcze w czerw-

cu, musiałam chodzić w wysokich butach starszego brata i wstydyłam się pokazać zeszpeconą odmrożeniami twarz...

Pokumałam się ze służbą i robotnikami, słuchałam z nimi radia, a mój powielacz oddałam na usługi konspiracji; jeździłam też po terenie, dostarczając osobiste lub przez łącznika, dokumenty ludziom spalonym. Ale był to jedynie margines mojej działalności, od początku bowiem prowadziłam tajne nauczanie. Uczyłam dzieci w niedziele, wieczorami i w porze obiadowej; we własnym domu, u krewnych i w... niemieckiej firmie gdzie pracowałam. Jedynym niezbędnym pieczętem było to, że dzieci często chodziły ulicami z polskimi książkami, ponieważ musiały je sobie wzajemnie pożyczać. W domu matki przebywało wielu krewnych, między innymi kuzyn z Rybnika, którego żona doskonale znała niemiecki. Kładłam więc na stole niemiecką książkę i kiedy zjawił się nieproszony gość, mógł się łatwo przekonać, że kuzynka uczy nas wszystkich niemieckiego.

Komisja weryfikacyjna orzekła, że przez całą okupację, aż do wyzwolenia prowadziłam zorganizowane tajne nauczanie...

MICKIEWICZ NA NIEMIECKICH RACHUNKACH

W Bolesławcu szkoła spalona. W Podbolesławcu stał budynek szkolny, należący do powiatu kępińskiego, w czasie okupacji wykupiony przez Niemca dla robotników. Żadnych sprzętów, trzy klasy zdemolowane. Do takiej placówki powołano mnie, jako najmłodszą, na kierownika. Dzięki pomocy społeczeństwa i władz, 10 lutego 1945 roku (do 30-lecia jeszcze rok), moja szkoła ruszyła pełną parą.

Ale nie było to łatwe, gdyż płynność kadry nauczycielskiej przerażała; nie wiadomo, do jakich klas przyjmować dzieci, mało które posiadała zaświadczenie z tajnych kompletów, dziesiątki jeżdżących wraz z rodzicami z Niemiec, trzeba więc przez całe dni prowadzić egzaminy, a tu, na niesześć, najofiarniejsza koleżanka choruje na zapalenie płuc. Szczęście, że mieszkajcy naprzeciw szkoły „polski” Niemiec, dotychczasowy sołtys, niepewny zwycięstwa Rzeszy, przechował dokumenty: pieczęć i księgi ocen, tym cenniejsze, że lawina interesantów sunęła po odpisy świadectw.

Dzieci ścigały z domów najgorsze stoły i stolki, przyjeżdżali rodzice z sąsiednich wsi, aby umieścić dzieci w szkole, ale że nie było ich gdzie posadzić, przeto przyjeżdżali powtórnie z pociechami i własnymi ławkami na wozach; uczniowie pisali na parapetach i na złożonych na stołkach oknach.

Książek i zeszytów nie było, ale był obok sklep, więc ja, kiedy inni szabrowali mąkę, cukier i mydło, ścigałam całe stopy niemieckich rachunków, na których dla nauczycieli i uczniów przepisywałam wiersze, czytania, zadania. Koleżanka Gasińska, ze względu na małe dziecko, nie mogła wkładać tyle pracy, w życie szkoły, ale wdowa Kijakowa była niezrównana! Poleciała dzieciom zbierać jajek, które uczniowie zanosili do stacji w Kostowie, a my wiozłyśmy je do Częstochowy. Koleżanka miała lepszą głowę do handlu niż ja, ale i tak niezmiesznie utargowały, a za cenę trzech jajek w Częstochowie można było nabyć czytanke lub zeszyt!

Komisja powiatowa stwierdziła, że moja szkoła jest dopiero trzecią w powiecie, zorganizowaną szkołą z pełną dokumentacją.

„Gwałtowne zmiany nie są możliwe. Młode kobiety, okazały się słabe w wielu wypadkach — w zwykłych sytuacjach z ludźmi, w niebezpieczeństwie, w grze w karty i wciąż tak samo opętane fałszywym wstydem. Dużo klamałem”.

Sklonność do samooskarżeń, do wiecznych wyrzutów, do potępienia samego siebie jest nieustanną refleksją notatek. Określa siebie jako brzydkiego, niezgrabnego, niechlujnego, niewyrobionego towarzysza. Jakby tego było mało, nazywa siebie nieukiem i człowiekiem bez charakteru. Zarzuca sobie brak odwagi i lenistwo, które stało się nieprzezwyciężonym nawykiem. A jednocześnie nie opuszcza go tęsknota i nadzieja, że istnieje życie inne, lepsze, którego nie poznał. „Miłość i religia — oto dwa uczucia, które, wznieśli. Nie wiem, co nazywają miłością. Jeśli miłość jest tym, co o niej czytałem i słyszałem, to nigdy jej nie doświadczyłem”.

W „Dziennikach” pojawia się imię Zinajdy Molostowej, uczennicy Instytutu Szlacheckiego Urodzonych Panien, córki kazańskiego ziemianina, która egzemplifikuje tak potrzebny Tolstojowi stan „czystego dążenia dwóch dusz do siebie”. Pisarz wspomina jakąś boczną ścieżkę w Ogrodzie Biskupim w Kazaniu, gdzie najprawdopodobniej spotykał się z panną i gdzie miał na końcu języka wyznanie, którego nigdy nie uczynił.

Wkrótce imię Zinajdy jeździ w cień. Prowincojalna dziewczyna zastąpi w sercu Tolstoja księżna Luiza Wolkońska, prototyp „małej księżnej” z „Wojny i pokoju”. Będzie do niej pisywał listy, a w Sewastopolu spotka oficera bardzo podobnego do swego odległego ideału. „Staram się widywać z nim rzadziej, aby przedłużyć to wrażenie”.

KONRAD FREIDLICH

KOBIETY W DZIENNIKACH LWA TOLSTOJA

„Przyroda znacznie wykraczała poza swój cel dając człowiekowi potrzebę poezji i miłości — jeżeli jedynym jej prawem jest celowość” notuje w swoich dziennikach trzydziestoletni Lew Tolstoj. Jest już wówczas doświadczonym pisarzem, ma za sobą autobiograficzną trylogię „Dzieciństwo”, „Lata chłopięce”, „Młodość” (car rozplakał się czytając jeden z tomów). Rozgłos ugruntowały mu „Opowiadania sewastopolskie” relacja wrażliwego obserwatora z obłąkanej miasteczka. Ale życie emocjonalne pisarza dalekie jest od stabilizacji mimo doświadczeń w służbie wojskowej na Kaukazie, w Armii Dunajskiej, z którą przemierzył Rumunię, wreszcie w oddziałach broniących Krymu.

Na kartach prowadzonych niemal nieprzerwanie przez 44 lata „Dzienników” obsesyjnie powracać będzie motywy kobiety, raz jako wcielenia i niemal przyczyny wszelkiego zła na ziemi, innym znów razem jako fenomenu natury, który w swej doskonałości znacząco przekroczył wszystko, co stworzyła przyroda. Myśli Tolstoja o kobietach wypełnione są nieustanną samoudręką.

We wczesnej młodości, kiedy „Dzienniki” jego pełen jest kategorycznych reguł postępowania, jakie Tolstoj darownie usiłuje sobie narzucić, formu-

luje imperatyw: „Traktuj towarzystwo kobiet jako nieuchronną przykrość życia towarzyskiego i w miarę możliwości unikaj ich”. Obarcza wówczas kobiety odpowiedzialnością za zmysłowość i lekkomyślność mężczyzn, a nawet za utratę przez nich odwagi, stanowczości, poczucia sprawiedliwości, rozważli. „Kobieta — pisze Tolstoj — jest wrażliwsza od mężczyzny, dlatego w wiekach, gdy panowała cnota, kobiety były lepsze od nas, w obecnym zaś rozpustnym, pełnym przywar wieku są od nas gorsze”.

Wciąż jednak nie opuszcza go myśl o uczuciu wzniósłym, niezwykłym, czystym, które potrafiłoby zaprzeczyć dotychczasowym doświadczeniom. Z perspektywy lat przywoła w sobie taki idealny obraz z późnego dzieciństwa, wspomnienie grubej pokójki o ładnej twarzy, która była najprawdopodobniej pierwszą kobietą jego życia. Przywoła, aby natychmiast zanegować: „Nigdy nie kochałem się w kobietach”.

A jednak „Dzienniki” ujawniają wciąż nowe afekty nacechowane wyjątkową ambiwalencją uczuć. Chodzi, rzecz jasna, ciągle o Tolstoja młodego, dalekiego jeszcze od sformułow-

nia przez niego zasad nowej religii zredukowanej w istocie do etyki, w której naczelną rolę odgrywa krytyka przemocy i nauka niesprzeciwiania się złu czynnie. Chociaż nawet jako starzec, otoczony gnosem współwyznawców, sformułuje paradoksalny sąd:

„Rozpustnik to nie przewzisko, lecz stan (sądę, że tak samo i rozpustnica), stan niepokoju, ciekawości i potrzeby nowości wywołany obcowaniem dla przyjemności nie z jedną, lecz z wieloma. Jak pijak. Można się powstrzymać, ale pijak jest pijakiem, a rozpustnik rozpustnikiem i przy pierwszym lepszym osłabieniu uwagi — upadek. Jestem rozpustnikiem”.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. W roku 1851 liczący dwadzieścia trzy lata Tolstoj przyjeżdża z Jasnej Polany do Moskwy, aby grać (majątek jest zadłużony), ożenić się i zdobyć posadę. Małżeństwo traktuje jako panaceum na błędy i porażki dotychczasowego życia, na szczęście brat Mikołaj odradził mu ten środek, toteż w parę miesięcy później, już na Kaukazie w „Dzienniku” pojawia się zapis:

DALEKO DO ZMIERZCHU

Zachęcone dotychczasowymi wynikami, zakładaliśmy spółdzielnię uczniowską, gromadzącą sale, szafy, zdobytych własnym kosztem, tworzyliśmy bibliotekę. Nauka trwała równieź w lipcu. 10 lipca 1945 roku przy nabitej szafie sali szkoła dała pierwsze przedstawienie, w tym samym miesiącu osobiście odstawiłam do szkół średnich pierwszych absolwentów mojej podstawówki.

W sierpniu „zamianowano” do szkoły Florianą Rojką, mojego przyszłego męża. Co mężczyzna, to mężczyzna. Światło było w prywatnym mieszkaniu na piętrze, więc Florian wywiercił dziurę w suficie i przeciągnął kabel; w klasach zapłonęły żarówki, dzieci miały z tego powodu niebywałą frajdę.

W czasie okupacji wpadli kiedyś do mnie Niemcy, przeszukali mieszkanie, podarli grzebiowane książki z biblioteki gimnazjalnej i wyrzucili na podwórko. Zbili mnie, ale tajemnicę gazetki nie zdradziłam. Innym razem znów kogoś szukali, zlekkałam celowo z otwarciem drzwi, więc też mnie nie poturbowali. A jeszcze później zameldował się u mnie gestapowiec z Kalisza. Strzelał, ale spudłował. Wymknęłam się na ulicę, okrzykami narażając dom i wpadłam do tego samego podwórka, a on pobiegł prosto ulicą...

Po wojnie niewiele się zmieniło. Organizowałam ZNP, jeździłam na rowerze z pensją dla nauczycieli, późno wracałam z konferencji, byłam przewodniczącą pierwszego Referendum Ludowego. A banda „Rudego” nie spała! Zabili nauczycielkę, skatowali męża innej koleżanki; wargnęli do szkoły podczas mojej nieobecności. Napiecie i niepokój, każdy telefon mógł być wyrok. Potrafił zwać w odpowiednie miejsce. Ja też poszłam do „Rudego”, lecz spotkania tego wole nie wspominać.

Ale z wolna uspokajało się. Inspektorat w Wieluniu dostarczył materiałów szkolnych, pomógł w wymianie sprzętu. Myślałam nadal mieszkać w dużej klasie; kiedy myślałam podłogę, pod paznokciami zostawały drzazgi...

SPOTKANIE ZE ZDUNEM

Pobraliśmy się w roku 1947, gdy Florian zdobył kwalifikację. W 1948 przyszedł na świat syn Mieczysław, który jest obecnie nauczycielem w Lewinie Brzeskim. On rozpoczął studia na farmacji, ale musiał je przerwać ze względu na chorobę oczu; czuję się winna z tego powodu, gdyż nie dopilnowałam chłopca, gdy zachorował na szkarlatynę. Ale dzięki Bogu zrobił kurs nauczycielski, potem Studium, wreszcie magisterium i bardzo jest zadowolony z pracy.

Adam urodził się w 1949. W ub. roku otrzymał z rąk rektora Akademii Medycznej „czerwony” dyplom; mąż przeżył tę szczęśliwą chwilę, ja byłam chora. Adam jest obecnie na studiach doktoranckich. Wobec niego też czuję się winna, kiedy bowiem rozbiera się na uczelni jako model, wszyscy widzą, że z jego ręką nie wszystko w porządku. Bo, widzi pan, moi chłopcy wychowywali się razem z dziećmi szkolnymi, od rana do nocy. Trudno było mi się oderwać od zajęć w teatrzyku kukielkowym, kółku czy-

telicznym i recytatorskim, mąż wyłączał światło, ale nie pomagało. Siedzę raz wieczorem z uczniami, a tu nagle płacz za oknami. To Adam, bawiący się na sankach. Wzięłam go na kolana, czytam dalej uczniom baśń, a chłopak przy każdym poruszeniu popłakuje coraz głośniej. Rozbrałam go, i wtedy okazało się, że ma zwichniętą rękę. Chirurga nie było, gozina 22, więc zawiozłam dzieciaka do „nastawiacza”...

Ale przedstawienia były w Bolesławcu potrzebne, bo kino objazdowe nie załatwiała spraw kultury. Teraz co innego, jest telewizja, Dom Kultury, zbudowany zresztą z naszej inicjatywy, z zespołem młodzieżowym i biblioteką. Nieraz wracałam z prób o drugiej w nocy i jednego przedstawienia nie doczekałam, gdyż zabrano mnie do szpitala. Ogólne wyczerpanie organizmu...

Żeby załatwić zezwolenie na przedstawienie, wracałam pieszo (30 km) z Wielunia. Ale dotarłam tylko do Lubnia, gdzie musiano mi udzielić pomocy; innym razem wraz z koleżanką z ZNP jechałam okazją, to było na początku lat pięćdziesiątych, i zlapała nas „lotna”. Musiałam wysuplać ostatni grosz na mandat, ale i tak wysadzono mnie w połowie drogi. Koleżanka pojechała dalej, bo pokazała bardzo ważną legitymację.

Do PZPR nie należałam, jestem członkiem ZSL i radną Gminnej Rady Narodowej.

A to jest ostatni owoc naszego małżeństwa, Krystyna, uczennica drugiej klasy liceum. Staje przy niej, aby pan miał porównanie z tą „muchą”, jaką byłam ja w jej wieku. Tak, marzyła się jej już estryda i teatr, ale kiedy zobaczyła pod Wieruszowem archeologów, tkwi w postanowieniu zostania archeologiem. Ostatnio jeden „ananas”, mój uczeń, kazał jej powtórzyć: „Twoja matka to była fajna babka. Dla mnie już chyba nikt w życiu nie będzie miał tyle cierpliwości”.

Bo ja, proszę pana, nigdy nie miałam kłopotu z wychowankami. Moją dewizą było załatwianie spraw na zasadzie partnerstwa. Ucznia nie wolno poniżać, nie grzebać w jego słabościach. Jeden mi się tylko nie udało. Ojciec pijak, matka niedorozwinięta, sama dawała dzieciakowi wodę...

Parę lat temu przyjechał do Bolesławca młody inżynier. Nie mogłam sobie przypomnieć. Wtedy wyjaśnił, że on był tym pomocnikiem zduna, stawiającym piece w Podbolesławcu, którego osobiście odwoziłam do szkoły średniej...

NIGDY TEGO NIE ZAPOMNĘ...

Ze względu na dzieci, chorobę matki i na męża, który robił magisterium, nie ukończyłam studiów wyższych. Jako ekstern zdobyłam dyplom Studium Nauczycielskiego ze specjalnością „filologia polska”. Ale wiele czytałam, poznając nowe kierunki w nauczaniu. Prowadziłam pedagogizację rodziców, organizowałam atrakcyjne formy wywiadówek, a życie szkoły przystosowałam do zasad samorządności.

Ten ładny, pawilonowy budynek dzisiejszej gminnej szkoły zbiorczej, z

salą gimnastyczną, centralnym ogrzewaniem, chodnikami i zieleńcami na zewnątrz, asfaltowym boiskiem do szczyptorniaka, został oddany do użytku w 1964 roku. Władze były niechętnie budowaniu szkoły w Bolesławcu. Duży budynek szkolny wzniesiono w Piaskach. Jednakże myśmy stanowczo wystąpili o budowę szkoły w Bolesławcu. Pisyaliśmy podania, dzieci domagały się tej szkoły podczas dożynek. Nie żałowaliśmy czasu, zdrowia, ja na ten cel ofiarowałam nawet składane przez parę lat pieniądze, przeznaczone na uszyście kostiumu...

I jest szkoła. Do ubiegłego roku byłam jej dyrektorem, teraz tę funkcję objął mąż. Ja pracuję jeszcze, ale raczej dorywczo.

W lepszych warunkach mogłam sobie pozwolić na nowatorstwo. Zorganizowałam pierwsze w powiecie klaso-pracownie. Z początku patrzono na te poczynania nieufnie, potem wysoko oceniono. W naszej szkole odbywały się konferencje, jeździły wy-cieczki nauczycieli z innych miast. Zbierałam pochwały za wysokie miejsca w konkursach zespołów dziecięcych, klepałam mnie po plecach, za prace polonistyczne moich uczniów. Inni zbierali dyplomy i odznaczenia, ale ja nigdy nie ubiegałam się o takie zaszczyty.

Otrzymałam nagrodę I stopnia Ministra Oświaty za wybitne osiągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej i doszłusławności do nowobogackich, gdyż miał kupił „Trabanta”. Zachęcona wyróżnieniem, przestałam pracować w szkole na system Lewina, a w „testamencie” opracowałam na rok szkolny 1973/74 program oparty o system Hellodora Muszyńskiego. Bo przyszło się pożegnać, czas na emeryturę...

W czerwcu stałam na progu szkoły, sama, zupełnie sama, i patrzyłam, jak dzieci odchodzą do domów. W mieszkaniu znalazłam zostawione przez przedstawicieli władz kwiaty. Żadnego słowa...

W listopadzie, w Dniu Nauczyciela, wręcano kolegom krzyże i odznaczenia. Coś mnie mnie pękło, co tu zresztą owijać w bawełnę — dostawałam ataku serca. Kochałam moją pracę, miałam się jej bezinteresownie, tylko raz w czasie okupacji, pamiętam dobrze, otrzymałam od rodziców dzieckie kawalek mydła i lichą szmatkę na uszyście szlafrocka.

W dzieciństwie matka uczyła mnie, że w życiu należy się starać o przyjaźń ludzką. Czyżby się myliła?

W tym uroczystym dniu po południu przyszedł list z Raciborza. Odczytałam go kolegom w trakcie wieczornego spotkania przy kawie. Moja uczennica pisała:

„Była pani moją pierwszą polską nauczycielką. To dzięki pani ja także zostałam nauczycielką. Nigdy tego nie zapomnę...”

RYSZARD BINKOWSKI

TEATR

„NADOBNISIE I KOCZKODANY”

Patronem przedwojennego teatrzyku „Cricot II” był Stanisław I. Witkiewicz. Kantorowski „Cricot II” obrał sobie tego samego patrona. I starszy i młodszy „Cricot” rozpoczęli od „Matwy” Witkacego — „pierwszego nadrealisty w Polsce”. „Numer jeden” jednak, sprzeniewierzył się Witkacemu, już więcej nie sięgał po jego dramaturgię. „Numer dwa” w twórczości pisarskiej St. I. Witkiewicza poszukuje ciągle nowych, inspirujących tematów. Tadeusz Kantor, twórca teatru „Cricot II”, wziął na warsztat komedię Witkacego „Nadobnisie i koczkodany”.

Dotarłem do sedna filozofii Witkacego dziś już nie sprawia trudności. Naczelnym problemem filozoficznym Witkiewicza był problem ontologii ogólnej. Przypominał on późniejszego Heideggera, „rzucenie” w byt, w pustkę, każdej istoty ludzkiej.

„Twórczość artystyczna — pisał Witkacy w „Nowych formach w malarstwie” — jest bezpośrednim potwierdzeniem prawa samostanowienia jako tego, za cenę czego istnienie w ogóle jest możliwym i to potwierdzeniem nie tylko dla siebie, ale i dla innych Istnień Poszczególnych, tak jak ono samotnych: jest potwierdzeniem Istnienia w jego metafizycznej okropności”.

Bardzo podobne sformułowanie pada w „Nadobnisie i koczkodany”. Tadeusz, alter ego autora, mówi do Tarkwiniusa:

„Znam twoją naturę lepiej, niż ty sam ją znać możesz. Na tle moich własnych przeżyć widzę cię jak przezroczystą tafelkę kryształu wśród najdawniejszych promieni Rutherforda i Bohra. Przy pomocy moich metod uczynię z ciebie atlektę najistotniejszą niedosytów, które dopiero otworzą ci wrota tajemnicy najwyższej: zasady TOŻSAMOŚCI FAKTYCZNEJ POSZCZEGÓLNEJ. Tajemnica ta ma dwa piętra, nieprzepuszczalne, jak dwa możliwe Światy Einsteina. Każde nawet najgłębszy bydlak wie, że to jest to, a nie co innego. A jednak w wyższym rozumieniu tego rozwiązuje się najpikardniejszy problem wszystkich możliwych i aktualnych Istnień”.

I oto Witkacy wkrocza w krąg rozważań egzystencjalnych, w sferę problemów jednostki — istnienia. Rozwiązuje je poprzez kreowanie autonomicznej nadrzeczywistości, poprzez budowanie świata, w którym ludzie mordują się, gwałcą, rozdwajają, zmierzwiawstają.

„Gdy czytałem sztukę Witkiewicza — mówi Tadeusz Kantor — wydawało mi się, że są one nieustannym przedłużeniem słynnych „seansów witkiewiczowskich”, przetykanych natrętnymi dywanami filozoficznymi, mieszającymi gargantuaicznego rozpasań intelektu, perwersyjnej twórczości i erotyzmu”.

To poszukiwanie świata surrealistycznej rzeczywistości cechuje w pewnym stopniu również rozległą sferę zainteresowań twórczych Tadeusza Kantora. Motywem najczęściej występującym w malarstwie sztalugowym twórcy teatru „Cricot II” jest albo przekształcone i wbudowane w konstrukcje przestrzenno-geometryczne postacie ludzkie, albo też dziwne twory na polu mechanicznym, a na polu zoologicznym i drapieżnym i niesamowitym wyrazie, płótna o posępnej i dramatycznej wymowie. Płótna, w których elementarne pasje życiowe upostaciowane w formach biologicznych poddane są dręczącemu działaniu jakichś okrutnych i potężnych mechanizmów”.

Kreowanie swojej nadrzeczywistości zarówno u Witkacego jak i Kantora kształtuje formę

inscenizacyjną. Wiąże się ona — jako dominująca — z tradycją polskiej szopki, teatrem dell'arte, z farsą zacudnoeuropejską, z ostatecznie Witkiewicza to po prostu kukły.

„Aktor jako taki nie powinien istnieć; powinien być takim samym elementem całości, jak kolor czerwony w danym obrazie” — tak pisał Witkacy. Jest to cecha teatru integralnego, jest ona również cechą charakterystyczną inscenizacji Tadeusza Kantora.

Wiązaniem „definitywne” objawia się już w sztuce. Widz (równa się uczestnik przedstawienia) jest atakowany przez Kantora środkami happeningowymi (Kantor jest mistrzem polskiego happeningu).

Z Kantorem publiczność jego teatru styka się również w sztuce. Aranżuje on sytuację wraz z aktorami zgola niecodzienne, siwarza świat, w którym widz czuje się najpewniej w zuniormizowanym kostiumie. Roznieszczona uczestników przedstawienia (widzów) bardzo precyzyjnie, ci, którzy dostąpili zaszczytu wejścia do „loży” będą wybranymi i wystąpią w spektaklu. A więc i w tym nadrzeczywistym świecie kantorskiej sceno-widowni są „wybrani”. Tu jednak widz obcuje bezpośrednio, namacalnie z demurami-inscenizatorami, którzy w czasie trwania spektaklu kieruje czynnie tokiem inscenizacji. Skoro nie zawiera aktorowi, musi nim powodować.

Aktor w rękach Kantora-reżysera staje się marionetką, pozabawioną ludzkich cech gestywno-mimicznych, odwołującą się do płóci Kantora-malarza, do zmechanizowanego świata surrealistycznej poezji, nadmarionetki Craiga, biomechaniki Meyerholda, wreszcie do psychiczno-patologicznych anomalii. Ta ostatnia cecha staje się realnie dominującą. Potęguje ona wrażenie konieczności ingerencji lekarza-reżysera i asystentów-pielęgniarek, bowiem ten świat odbiegający od normy wehłania i widownię.

Ujmując rzecz ściślej, Tadeusz Kantor za pomocą swego świata nadrzeczywistego przekazuje odbiorcy zsyntetyzowaną wiedzę o tym świecie, a operując symboliką sugeruje odniesienia do rzeczywistości. Zachodzi tu klasyczny model wielowarstwowego kanału informacyjnego, wytworzonego między nadawcą-realistą a odbiorcą-widzem, z niewielkimi jednak odstępstwami. Odeń w polskim współczesnym teatrze aktor jest jednocześnie i znakiem i nadawcą. U Kantora jest tylko znakiem. Widz natomiast otrzymał tu funkcję dodatkową. Jest nie tylko odbiorcą, ale i znakiem. Nadmarionetka Craiga była marzeniem o rozzerwaniu jednostki i tożsamości aktora-nadawcy i aktora-znaku. Kantor owo marzenie urealnił, zgubił jednak po drodze jeden z elementów tożsamej konstrukcji. Doprowadziło go to do przerostu formy, do konstruowania dzieła samego w sobie (en soi). Jego teatr zyskuje najwięcej zwolenników wśród samych artystów oraz wśród młodzieży. Zafascynowanie kantorskim światem nadrzeczywistym musi budzić i watołowości. W zasadzie sformułował je — ożywił w innym odniesieniu — Tomasz Mann w „Doktorze Faustusie”:

„Ohojność wobec treści prowadzi artystę nieuchronnie ku idealowi, który jest skrajnym wyrazem formalizmu. Stosunek artysty do świata wyraża się w całkowitej obojętności i chłodzie uczuciowym”.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Jest prawdopodobny, gdy w listopadzie 1853 roku zapisze w „Dziennikach”:

„Nigdy nikomu nie wyznawałem miłości, lecz wspominając te straszne brednie, jakie z subtelny zagadkowym uśmiechem plotłem osobom, które mi się podobaly, czerwienię się na samo wspomnienie”.

Postępuje więc jak wszyscy z jego sfery, postanawia wziąć sobie na kochankę chłopkę z własnego majątku. Wybiera młodą meżatkę, Aksinię Bazylinę i odrzucając ją i przywołując na powrót, przez blisko trzy lata utrzymuje z nią związek, który uważa za występny.

Nie więc dziwnego, że odżywa myśl o ożenku, który jawi mu się jako ucieczka od brudów dotychczasowego życia. Zaczyna na serio interesować się Walerią Arseniewą, wcześniej osieroconą przez ojca ziemianką z pobliskiego majątku Sudakowo. Ich zażyłość ułatwia fakt, że po śmierci siostry Lew Tolstoj został mianowany opiekunem dzieci. Wprawdzie bardziej pociągają go księżna Alexandrine Obolska, do której zbliżył się w Moskwie, ale księżna, jako meżatka nie może być obiektem jego matrymonialnych zabiegów. Toteż moskiewski romans pisarza przyjdzie nam zaliczyć do tych zjawisk, które reprezentują pokrewieństwo duchowe, najwyższej zresztą cennie przez Tolstoja. „Okropnie mnie boli wspomnienie o tym szczęściu, które mogło być moim udziałem, a które przypadło wspaniałemu człowiekowi — Andrejowi Obolskiemu”. (22 maja 1856 r.) Ale już następnego dnia pojawia się charakterystyczny zapis:

„Wstąpiłem do Wierocki. Dzięki Bogu nie dała mi. U Botkina, w Kuncewie i w drodze tam do łez rozkoszowałem się naturą”.

Wzniosłość, do której pisarz tak tęsknił, często sąsiaduje tu z poposzcznością. Ma już 28 lat, a wciąż trudno wybrać się mu z czułości, a nawet pewnej egzaltacji. Oto pod koniec swego pobytu w Moskwie znów odwiedza Alexandrine Obolska, której zachorowała córka. Słysz o księżnej, że w czasach, gdy była naręczona, nie było zakochanych. Alexandrine jest wzruszona, ma lzy w oczach, kiedy podaje Tolstojowi rękę. „Było mi niesłychanie wesoło” — zanotuje pisarz i natychmiast wywołuje w sobie czysty obraz Sonieckiej Koleszyny, dziecięcej jeszcze miłości.

Powrót na wieś latem 1856 roku rozczarował Tolstoja. Jego pańszczyźniani chłopci nie chcieli z nim rozmawiać na temat wolności, podejrzewając podstęp i oszustwo. Czy można się dziwić, że ponosząc klęskę na polu społecznym właściciel Jasnej Polany tym gorzej zajmie się sprawami osobistymi. Walerii Arseniewej, pani na Sudakowie, poświęca „Dzienniki” wyjątkowo wiele miejsca. „Spędziłem cały dzień z Walerią. Była w białej sukni z odsonietymi ramionami, które ma nieładne. To mnie wprawiło w zły humor. Zaczęłam ją szczypać moralnie, i to tak okrutnie, że uśmiechała się niewyraźnie. Uśmiech przez lzy. Potem grała. Było mi przyjemnie, ale ona już była zdehumorowana”.

Cała znajomość z Walerią przypomina właśnie takie nieustanne szczypanie. Darownie usiłuje sobie Tolstoj narzucić miłość, której nie ma, choć nie można powiedzieć, że jest całkiem nieważliwy na wdzięki. Notatki pisane z tego okresu cechuje wyjątkowa chwilejność na-

strojów. Bywa u Arseniewów niemal codziennie i z rezygnacją odbiera rewizyty. „Waleria była w niewyrażnym nastroju, okropnie afektowana i głupia”. W 10 dni później:

„Rozmawialiśmy z Walerią o małżeństwie, jest niegłupia i niesłychanie dobra”. Każdy zachwyt zbija jednak Tolstoj słowami zwątpienia. Oto kilka myśli o narzeczonej z września 1856 r.: „Czuje wstręt do Walerii” (zakochała się była właśnie w pianicie francuskim Ludwiku du Mortier Fontaine); „Nieprawdopodobnie była Waleria miła, ale ograniczona i niemożliwie płocha”; „Bogu dzięki mniej myślałem o Walerii”; „Nie mogę nie ranić Walerii. To już przyzwyczajenie, lecz nie uczucie”; „Patrzyłem spokojnie na Walerię, okropnie się rozżyła; nie absolutnie do niej nie czuję; dalem jej do zrozumienia, że powinniśmy się rozstać”; „Byłem na balu. Waleria była uroczą. Jestem w niej prawie zakochany”; „Przyjechała Waleria. Niezbyt mi się podobala, ale to miła, kochana dziewczyna; uczucie i otwarcie powiedziała mi, że chce pójść do spowiedzi po historii z Mortimerem, a ja pokazałem jej ten dziennik; zapis z 25 (października) kończy się zdaniem: Kocham ją. Wyrwała kartkę”.

I tak bez końca aż do wyjazdu Tolstoja za granicę, skąd, zbliżając się do Paryża, posłał Walerii 20.II.1857 r. list, zrywając narzeczeństwo. Ale po powrocie na wieś dawne obsesje znajdują łatwy dostęp do pisarza: „Żądam i dręczę mnie; znów lenistwo, smutek i melancholia. Wszystko wydaje się nonsensem. Ideal jest nieosiągalny, jestem już zgubiony”.

Ratuje się wyjazdem do Petersburga i Moskwy, gdzie znów widuje Alexandrine Obolską, ale to także nie ma sensu. Wyobraźnię Tolstoja oparuje więc w pierwszych miesiącach 1858 Kataria, córka poety Fiodora Tiutczewa. Często

teraz jeździ do Moskwy, aby stwierdzić: „Niestety, Tiutczewa nie działa na mnie. Wszystko inne nawet w ogóle wstrętnie”. Tolstoj kończy wówczas 30 lat. Gotów jest ożenić się z Tiutczewą nawet bez miłości, ale panna wyjątkowo chłodno przyjmuje jego starania. Zawiedziony w swych nadziejach odwiedza pisarz rodzinę Bersów. Podczas obiadu przygląda się córkom przyjaciela: 14-letniej Lizie, 13-letniej Soni i 12-letniej Tonii. Ten obiad moskiewski ma później nieoczekiwane konsekwencje.

W r. 1861 przebywając w Jasnej Polanie po powrocie z Moskwy Tolstoj zanotuje: „Zapomniałem o przyjemnym dniu u Bersów, ale z Lizą ożenić się nie mam odwagi”. W rok później, kiedy Sonia Bers skończy 17 lat, Tolstoj jeździ do Moskwy, aby skonstatować: „Boję się siebie, co będzie, jeśli i to jest tylko pragnieniem miłości, a nie samą miłością”. W parę dni później zanotuje z udanym sarkazmem:

„Mam 34 lata. Wstałem ze zwykłym smutkiem. Wstrętna gęba, nie myśl o małżeństwie, masz inne powołanie i wiele ci w zamian dano”.

Kto uważnie czytał „Annę Kareninę” przypomni sobie zapewne scenę oświadczenia Kitty i Lewina. To niemal dosłownie przeniesiona na karty powieści scena oświadczenia Soni Bers i samego Tolstoja. Sonia dała mu do odcyfrowania list zawierający tylko pierwsze litery słów, których znaczenia powinien się domyślić. Sprawa jest już przesądzona. „Do 3 godziny nie spałem. Jak szesnastoletni chłopiec myślałem i męczyłem się”. 14.IX.1862 r. Tolstoj pisze do Soni list:

„Niech pani powie jak uczelwy człowiek — czy chce pani zostać moją żoną? Tylko jeżeli z całego serca, śmiało, może pani powiedzieć tak, to inaczej proszę lepiej powiedzieć nie, jeżeli ma pani w sobie choć cień wątpliwości”.

Odpowiedź usatysfakcjonowała go w pełni. Wprawdzie melancholijnie stwierdził, że Sonia całuje sztywno, ale w Jasnej Polanie wyda mu się z kolei, że „ona się zbyt ośmieliła”.

Na długie lata pochlona Tolstoja szczęście rodzinne. Niepokoi go czasem, że Sonia jest tak młoda, a jeszcze częściej, że nikt nie jest jej wart. Zapiski w „Dzienniku” z minionego życia są dla pisarza nieustannym wyrzutem, dał jej żonę do przeczytania, aby wiedziała o nim wszystko. Na długie lata znajduje w niej partnerkę i współtowarzyszkę pracy, Sonia przepisuje mu rekopisy. Powstają w tym czasie Tolstojowskie arcydzieła „Anna Karenina” oraz „Wojna i pokój”.

Ale stosunki z żoną komplikują się coraz bardziej. Jest niesłychanie impulsywna, łatwo się gniewa. W 1870 roku nie poświęci jej ani zdania w „Dziennikach”. Przeglądając go za to coraz częściej cienie przeszłości: „Wszystkie pas-kudztwa mojej młodości przerażeniem i bólem skruchy pały mi serce”. Rozpaczliwie odcina się od wszystkiego, czego dokonał do tej pory. W integralnie włączonych do „Dziennika” „Zapisach chrześcijańskich” określi ze wstrętem „Annę Kareninę” jako powieść o tym „jak pewna pani pokochała pewnego oficera”.

Ciąg dalszy nastąpi

Patrick Raich, szef policji, zasiadł w usłudze podsuniętym fotelu i rozjeżdżał się wokół. Białe pulpity z rhotem przelączników i wielokolorowych lampkach przypominały nieco automaty do sporządzania koktajli. Podobienstwo osrodka obliczeniowego do baru podkreslały jeszcze dwie operatorki, siedzące za pulpitem w białych fartuchach. Panienci najwyrazniej przesadzaly z użyciem kosmetyków, co stanowczo nie podobalo się Raichowi. Tak zresztą, jak i cały pomysł z zakupem elektronicznej maszyny. Prawdę mówiąc, gdyby Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poświęciło mniej uwagi gazetom, nigdy by nie doszło do wprowadzenia wszystkich tych nowinek. Kto jak kto, ale Patrick Raich po pięćdziesięciu latach pracy w policji wiedział, że wystarczy jedno nie wykryte przestępstwo, aby pismaki podnieśli krzyk, że policja przekupiona jest przez gangsterów. Przekupiona! A po diabla mają przekupywać, jeśli byle gangsterski syndykat dysponuje znacznie większymi możliwościami, niż sama policja. Mają do dyspozycji opancerzone samochody, śmigłowce, automatyczną broń, bomby z gazem łzawiącym i, co najważniejsze, możliwość strzelania do kogo popadnie i kiedy popadnie. Przekupiona!..

David Lohan skrecał się z niecierpliwością, lecz nie śmiał przerywać rozmysłań szefa. Wszystko wskazywało na to, że starowina nastrojony jest sceptycznie, inaczej nie udawałby, że nic go to nie obchodzi. No cóż, zobaczymy, jak zaśpiewa, kiedy wszystkie karty zostaną wyłożone na stół. Takie przestępstwa szykują się nie każdego dnia!

Raich wyjął z kieszeni fajkę i uważnie przyjrzał się ścianom, poszukując napisu, zabraniającego palenia. — Proszę — Lohan pstryknął zapalniczką. — Dziękuję! — Przez kilka minut Raich milczał pykał fajkę. Lohan sporządzał ołówkiem uwagi na brzegu taśmy perforowanej, obserwując szefa cichaczem. — A więc — rzekł w końcu Raich. — Chce mnie pan przekonać, że dziś nocą zostanie podjęta próba ograbienia Narodowego Banku?

— Jak najbardziej! — Dlaczego właśnie dziś i obojętnie Narodowego Banku? — Bardzo proszę — Lohan podsunął szefowi niewielką kartkę. — Maszyna przeanalizowała wszystkie przypadki ograbienia banków na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat, wyciągając wnioski z otrzymanych informacji. Kolejne przestępstwo — ołówek Lohana zaznaczył kropkę na wykresie krzywej — powinno mieć miejsce dzisiaj.

— Hm... — Raich stuknął palcem w wykres. — A gdzie tu mowa o Narodowym Banku?

— Wynika to z teorii prawdopodobieństwa. Matematyczne oczekiwanie...

Narodowy Bank, Raich przypominał sobie grabież tego banku w 1912 roku. Wówczas w ostrym starciu przetrzelił mu kolanem, a mimo to, zdołał dogonić bandytów na motocyklu. Sielankowe czasy, kiedy to przestępcy działali w niewielkich grupach, a uzbrojeni byli w staromodne kolty. Wtedy odwaga i zrzeczność były coś warte. A teraz... „Matematyczne oczekiwanie”, „korelacja”, „funkcje Hausa”, jakieś tam perforowane taśmy, o rany! Nie policyjna służba, lecz seminarium z matematyki.

— „Stąd też nie ulega wątpliwości, że banda Scoletiego...” — Jak pan powiedział? — ocknął się Raich.

— Banda Scoletiego. Dysponuje ona najnowocześniejszą techniką otwierania kas pancernych, a dawno już nie uczestniczyła w poważniejszej robobie.

— W sprawie Scoletiego — to również ustalenia maszyny?

— Maszyna zakłada, że będzie to banda Scoletiego. Prawdopodobieństwo

stwo sięga tu osiemdziesięciu sześciu procentów.

Raich wstał i podszedł do pulpitu maszyny.

— Niech pan pokaże, jak ona pracuje.

— Proszę! Możemy powtórzyć przy panu wszystkie podstawowe operacje. — Ależ nie, ja po prostu tak, z ciekawości. A zatem, Scoletti ze swymi chłopcami dziś nocą rozpruje sejfy Narodowego Banku?

— Jak najbardziej!

— Cóż więc — uśmiechnął się Raich. — Nie pozostaje mi nic innego, tylko współczuć mu.

— Dlaczego?

— No jakżeś! Szykuje się grabież, wiemy o niej my, wie maszyna, tylko sam Scoletti niczego nie wie.

Lohanem oświadczyła radość rewanżu.

— Pan się myli — powiedział zjadliwie. — Banda Scoletiego zaopatrzyla się w taką samą maszynę. Może się pan nie ludzić, już ona im podpowie kiedy i jak działać.

Jean Bristeau zamienił karierę uniwersytecką na pieniądze i ani trochę tego nie żałował. Odczuwał spokojne zadowolenie człowieka, dobrowolnie pozabawiającego się rajskiej łaski na rzecz grzesznych radości padółu ziemskiego. Co zaś się tyczy wyrzutów sumienia z tego powodu, że całą swą wiedzę oddał on gangsterskiemu syndykatom, trzeba wprost powiedzieć, że podobnych skrupułów Jean nie odczuwał. W końcu, praca programisty — to praca programisty, a papa Scoletti płać za nią dziesięć

nych odpowiada pieniężnej wartości, na osi zaś odciętych — terminowi ograbienia. Jak więc pan widzi, kolejna poważna grabież przypada na dzień dzisiejszy. Nie widzę powodu, żeby nie polknąć tego kasku.

— Jakiego kasku?

— Czterdzieści milionów.

Jeden z obstawy aż gwiżdżał, Scoletti obrócił się z wściekłością. Nie znoś jakichkolwiek niespodziewanych hałasów. Przez pewien czas wódz syndykatu siedział, cicho posapując. Najprawdopodobniej rozważał propozycję.

— Jaki bank?

— Narodowy.

— Tak...

Dało się wyczuć, że Scoletti nie pała największą chęcią związania się z Narodowym Bankiem, na którym syndykat już dwukrotnie połamał sobie zęby. Jednakże, z drugiej strony — czterdzieści milionów, to taka suma, dla której zaryzykować można nawet i dziesiątką chłopców.

Bristeau wiedział, dlaczego Scoletti się waha, zdecydował się więc na użycie głównego atutu: — Oczywiście, wszystkie elementy operacji rozpracowane zostaną przez maszynę.

Zdaje się, że Bristeau trafił w dziesiątkę. Scoletti najbardziej ze wszystkich nie lubił brać na siebie odpowiedzialności za rozpracowywanie operacji. Proszę bardzo, nie zawadzi spróbować, jeśli maszyna... Lecz nagle doznał ośnienia:

— Chwileczkę! Powiadają, że stary Raich również ustawił w swoim kramiku jakąś maszynę. Czy aby nie uprzedzi go ona?

zom maszyny? Odpowiedź: nie będzie. Logicznie?

Scoletti poglaskał się po głowie.

— Dobra, przyjrzyjmy się twoim wariantom — burknął, sadowiąc się wygodnie.

— No, cóż — powiedział Raich. — Pański pierwszy wariant akurat w stylu Scoletiego. Wszystko obliczone na zewnętrzne efekty — i szturm na samochodach pancernych, i wybuchy petard, i cały plan blokady rejonu. Jednakże nie rozumiem na co mu ta cała lipna demonstracja w tym kierunku — palec szefa policji wskazał jedną z centralnych magistrali miasta. — Przecież odciągnięcie tu większej liczby policjantów ma sens tylko w tym przypadku, jeśli będziemy wiedzieli o szykującym się napadzie i zdecydujemy się przygotować kontratak.

Lohan nie zdołał ukryć tryumfatorskiego uśmiechu.

— Tylko w tym przypadku — potwierdził. — Scoletti przekonany jest, że znamy jego zamysły i szykujemy odpowiednią operację.

— Dziwne.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Zaopatrzenie dyrekcji policji w najnowszą elektroniczną maszynę liczącą rozreklamowane zostało przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych we wszystkich gazetach. Czyżby pan sądził, że w osrodku obliczeniowym syndykatu Scoletiego siedzą takie balwany, że nie wezmą pod uwagę naszych możliwości w prognozowaniu przestępstw? Przecież policja nie instalowała maszyny po to, aby zwiększyć szansę wygranej na konnych wysiędach.

Raich poczerwiał. Jego wielka namietność, jaką żywił do totalizatora, była jedną z małych słabostek, skrzętnie ukrywanych przed współpracownikami. — No i co z tego wynika? — spytał surowo. — Wynika z tego, że Scoletti nigdy nie będzie działał według wariantu numer jeden, mimo iż jest on dla syndykatu najwygodniejszy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to właśnie najbardziej wygodny wariant.

Raich opróżnił fajkę, napełnił ją znów i pograżył się w rozmyśleniach, otoczony błękitnymi obłokami dymu. Przeszło kilka minut, aż oznajmił radośnie:

— Na boga, Dave, zdaje się, że wszystko pojąłem? Chce pan powiedzieć, że syndykat nie tylko domyśla się, że wiemy o szykującej się grabieży, ale i tego, że mamy w rękach ich plany.

— Jak najbardziej! Wiedzą, że nasza maszyna ma takie same możliwości, jak i ta, którą sami zainstaliowali. Oznacza to, że w naszych rękach jest plan szykującej się operacji, a ponieważ plan ten jest najwygodniejszy dla syndykatu, policja niewątpliwie przyjmie go za podstawę kontroperacji.

— A oni tymczasem...

— A oni tymczasem przyjmą mnie dla siebie wygodny wariant, za to taki, który okaże się dla policji całkowitą niespodzianką.

— Uff! — Raich wytarł kraciastą chustką spurpurowiałą szyję. — A więc proponuje pan, żebyśmy...

— Przystąpili zaraz do analizy planu numer dwa — przerwał Lohan i dał znak operatorom, by włączyły maszynę.

— Nie rozumiem, dlaczego nie odpowiada panu ten wariant? — spytał Bristeau.

— Dlatego, że to kompletna bzdura! — Głos Scoletiego drżał z gniewu. — No, dobrze, mam pięć śmigłowców, nie oznacza to jednak wcale, że mogę z nich zrzucić tysiąckilogramowe bomby i wysadzać powietrzny desant. Jestem ministrem wojny — czy co? I po kiego czorta zostawiać pierwszy wariant? Tam wszystko świetnie wyłożone.

— Niechże pan zrozumie — kontynuował Bristeau — drugi wariant jest dlatego tak dobry, że w opinii policji niemożliwość do urzeczywistnienia. Faktycznie, skąd może pan wziąć lotnicze bomby?

— Właśnie o tym mówiłem.

— Proszę jednak wyobrazić sobie, że zdobył pan bomby. Wtedy wobec drugiego wariantu policja okaże się całkiem bezradna. Przecież uważa go za bluff, a sposobi się do kontrataku według planu numer jeden. A to oznacza, że czterdzieści milionów przewędrowało z banku do pańskich sejfów.

Przypomnienie czterdziestu milionów skłoniło Scoletiego do zadumy. Poskrobał się w potylicę, przysunął telefon i wybrał numer.

— Halo, Pit? Potrzebuję dwie lotnicze bomby po tysiąc kilogramów każda. Dziś wieczór? Co? No, w porządku, zadzwoni.

— Widzi pan — powiedział Bristeau. — Dla syndykatu Scoletiego nie ma rzeczy niemożliwych.

— To się okaże, kiedy znajdą się u mnie na składzie bomby. A co wtedy, gdy Pit ich nie zdobędzie.

— Na tę okoliczność jest wariant numer trzy.

W hali maszynowej osrodka obliczeniowego Głównego Urzędu Policji było niemiłosiernie gorąco. Standardowa uroda operatorów topniała w strugach gorącego powietrza, buchającego z maszyny. Spód różnokolorowych strumyczków byłej piękności, ściekającej z potem, wylazło bezlitosne oblicze Czasu.

Raich i Lohan pochylili się nad stołem, starając się pokonać hałas, wydawany przez piszące urządzenie. — Przypuśćmy, że syndykat zdołał zdobyć parkę bomb. To mało prawdopodobne, gotów jednak jest zgodzić się i z taką hipotezą.

— Aha, widzi pan...

— Chwileczkę, Dave! Mówię to dlatego, że — nawet w zestawieniu z tym wariantem — podkop z odległości pięćdziesięciu metrów i to na domiar z budynku, należącego do zagranicznego poselstwa, wydaje mi się wierutną bzdurą.

— Dlaczego?

— Dlatego, że po pierwsze: taki podkop wymaga kupy czasu, po drugie: obce poselstwo... a to już szczyt idiotyzmu.

— Proszę jednak popatrzeć — Lohan rozwinął na stole plan — budynek poselstwa jest najwygodniej położony. Stąd podkop dowiedzie najkrótszą drogą wprost do pomieszczeń z sejfami. Oprócz tego...

— Ale kto im pozwoli zrobić podkop.

— Zaraz ten problem zbadamy oddzielnie — uśmiechnął się Lohan. Mam już opracowany program.

— Starczy, synku — Scoletti zdjął stopy w skarpetkach i wysunął je w stronę faceta z obstawy, który podnosił buty z podłogi. — W ten sposób tylko niepotrzebnie tracimy czas. Twój pierwszy plan zupełnie mnie urządził.

— Tak, ale mówiliśmy o tym, że jest najbardziej niebezpieczny. Działając zgodnie z tym planem, dajemy niezaprzeczalną atut policji.

— Do stu diabłów! Kiedy policja oczekuje napadu?

— Dzisiaj.

— A my przeniesiemy go na jutro.

— Papiu! — z przejęciem wykrzyknął Bristeau. — Pan ma nie głowę, lecz maszynę liczącą! To nam przecież daje podwójną ilość wariantów!

— Tak — Lohan rozpiął kołnierzyk wilgotnej koszuli. — Wariant numer siedem, to nieoczekiwany powrót do wariantu numer jeden. O, do diabła! Szefie, a może po prostu urządzimy zasadzkę w banku?

— Lepiej nie, Dave. Powinniśmy powstrzymać się od jakichkolwiek działań, które mogłyby wywołać panikę na giełdzie. Nasza prośba o zezwolenie na zasadzkę w banku natychmiast stanie się znana gazetowym pismakom, a wówczas...

— Tak... Rzeczywiście, pan ma rację, tym bardziej, że wariant numer osiem daje przeniesienie napadu na jutro, a w tym przypadku... Niechże pan mu zamknie gębel! Awanturuje się już od pół godziny!

Jedna z panienek podeszła do telefonu.

— To do pana — powiedziała do Raicha, zakrywając dłoń słuchawkę.

— Proszę powiedzieć, że jestem zajęty.

— Dyżurny operacyjny. Mówi, że to niesłychanie ważne.

— Halo! — Raich wziął słuchawkę. — Tak. Kiedy? Rozumiem... Nie, lepszy motocykl... Zaraz.

Skończywszy rozmowę, szef policji długo patrzył w milczeniu na Lohana. Kiedy znów przemówił, głos jego był zadziwiająco spokojny.

— A jednak, Dave, miał pan rację?

— Co do czego?

— Dziesięć minut temu ograbili Narodowy Bank.

Lohan zbladł.

— Czyżby Scoletti?

— Myślę, że Scoletti zdał się też całkowicie na takiego balwana, jak pan. Nie, wszystko wskazuje, że to robota Smerdziela Simmsa. Znam jego styl działania, w pojedynkę, groząc koltem model z 1912 roku i puszką po konserwach, nasadzoną na rączkę od tasaka...

Przełożył: JACEK INDELAŁ

ILIA WARSZAWSKI

NAPAD NA STAP O PÓŁNOCY

razy więcej, niż każda inna firma. Przy tym wszystko to przypominało niewinną grę w szachy. Pojedynek na elektroniczne maszyny. Jean uśmiechnął się i, zmruczywszy oczy, spojrzął na starego tłuściocha, któremu w tym momencie facet z obstawy nalewał z termosu drugą porcję gorącego mleka. Oto obrazek, za który reporterzy gazet gotowi by przegryźć gardło jeden drugiemu: postrach banków Pedro Scoletti popija mleczko.

— No co, synku? — Scoletti postawił pustą szklankę na pulpicie maszyny i obrócił się do Bristeau. — Tak więc, twoja wróżka przepowiada na dziś lepszą robotkę?

Bristeau skrzywił się z lekką przy słowie „wróżka”. Nie, sir, jeśli zdecydował się pan zainstalować elektroniczną maszynę i zawierzyć głosowi nauki, to niech pan będzie uprzejmy korzystać i z odpowiedniego słownictwa.

— Udało mi się — odpowiedział sucho — znaleźć formułę wyrażającą cykliczność grabieży banków. Rzecz jasna, rabunków pomyślnych. — Do dał, biorąc w rękę szkolną wskazówkę. — Otóż, tutaj, na tym plakacie, wyobrazone są one za pomocą czarnych kółek. Czerwone kółka, to grabieże prognozowane w mojej formule. Położenie kółek na osi rzęd-

— Możliwe — niedbale odpowiedział Bristeau. — Jednak w tej sprawie mamy pewną przewagę. My

wiemy, że oni mają maszynę, a oni o naszej zaledwie mogą się domyślać.

— No i co z tego?

— W tym cała subtelność. Maszyna może opracować kilka wariantów napadu. Jeden z nich będzie najbardziej pomyślny — inne mniej. Przypuśćmy, że policja została uprzedzona przez swoją maszynę. Wówczas poleca, jej ustalić, który z syndykatów będzie przeprowadzał operację i jaka będzie taktyka grabieży. Przyjawszy najlepszy wariant za podstawę, opracują w związku z nim również i taktykę działania policji.

— No i przytrzasną nas.

— W żadnym wypadku.

— A to dlaczego?

Scoletti energicznie pokręcił nosem.

— Bzdura! Po prostu zrobiamy banku zasadzkę i powybierają nas jak pisklęta z gniazda.

— Tu właśnie pan się myli — zaprzeczył Bristeau. — Raich w żadnym razie nie zdecydował się na zasadzkę.

— Z powodu?

— Czysto psychologiczne motywy.

— Masz ty pojęcie o psychologii policjantów — uśmiechnął się Scoletti. — Znam starego przestro trzy-

dziest lat. Mówię ci: Raich lubi działać na pewniaka i za nic nie zrezygnuje z zasadzki.

Bristeau wyciągnął rękę i sięgnął ze stołu rulon perforowanej taśmy.

— Być może, iż nie mam pojęcia o psychologii policjantów, ale maszynę na potrafi rozwiąć każdą psychologiczną lamigłówekę, przy — rzecz jasna — odpowiednim programie.

Oto rozwiązanie takiego zadania. Dane: Raich ma siedemdziesiąt cztery lata. Ktoś tam w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych już od dawna przemyslił o zmniejszeniu go znacznie młodszym i mniej upartym urzędnikiem. Po drugie: na zasadzkę w Narodowym Banku konieczne jest zezwolenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i nakaz Ministerstwa Finansów. Co zyska Raich z zasadzki? Czysto taktyczną przewagę. Czym ryzykuje Raich w przypadku zasadzki. Swoją reputacją, jeśli nie uda mu się odeprzeć ataku. Wtedy wszystkie gazety podniosą zgiełk, że policja niezdolna jest rozprawić się z szajką gangsterów, nawet w tych przypadkach, gdy o planowanym przestępstwie wiadomo wcześniej. W jeszcze głośniejsze położenie wpadnie Raich, jeżeli zasadzka zostanie zorganizowana, a próba ograbienia nie nastąpi.

Pytanie: czy będzie Raich prosił o zezwolenie na zasadzkę, zwłaszcza że sam nie za bardzo dowierza progno-





LESZEK RÓZGA

W ramach trwającego w Łodzi od ubiegłego roku cyklu wystaw prezentujących tendencje nadrealne i metafizyczne w polskiej sztuce współczesnej, otwarta została ekspozycja prac Leszka Różgi. Wystawił on akwaforty z cykłów „Śmietniki” i „Kartki z albumu” oraz inne grafiki, a obok obszerny zestaw rysunków robionych ołówkiem, pastą i tuszem, i będących ostatnimi pracami artysty powstałymi w latach 1971-1974.

Leszek Różga nie trzeba przedstawiać czytelnikom. Twórczość jego stanowi jeden z najciekawszych momentów dzisiejszej sztuki polskiej. Korzystając natomiast z okazji, jaka nadarzyła się w związku z wystawą jego prac, pragniemy zapoznać czytelników z głosami krytyki zagranicznej, wypowiadającej się entuzjastycznie o sztuce polskiego artysty. I tak „Die Welt” w numerze 277 z 1972 roku w artykule „Grafika polska” pisze: „Punkt ciężkości wystawy tworzą miedzioryty (wykonane techniką starych mistrzów) oraz akwaforty Leszka Różgi z Łodzi. W jego pracach widzimy połączenie nadzwyczajnej dokładności z surrealistyczną fantastyką. Różga uwielbia tworzenie głębokich metafor między człowiekiem i naturą. Akty kobiece, pnie drzew, korze-

nie, uda, chrząszcze, rośliny i motyle — te wszystkie motywy przenikają się wzajemnie w jego pracach, tworząc zawiłą symbolikę. Czasami dochodzi w jego pracach jeszcze aspektu ironiczno-krytycznego odnoszącego się do naszych czasów.”

Ott Günther w artykule „Ars Polonia w Kolonii drukowanym w „Rundschau” (16.3.72) pisze: „Najsilniejsze przeżycia dostarcza nam Leszek Różga ze swoim cyklem „Przenikanie”. Jego akwaforty są wykonywane nierzadko przy pomocy dwóch płyt. Płatnina członków, embroidalne skłębienia, surrealistyczne sny — a nagle wynurza się zarys klasycznego profilu, reminiscencji portretu renesansowego...”

Żad z okazji wystawy Leszka Różgi w Galerii Karstadt-Haus krytyka pisała: „Jego prace należą do najciekawszych wydarzeń artystycznych współczesnej sztuki polskiej. Jego subtelnie potraktowane rysunki zdradzają wrażliwość i największą dokładność przy zachowaniu możliwości odczucia.”

A. G.



HISTORIA JAK KRYMINAŁ

A może raczej „kryminał” prawie jak historia? Mamy tu bowiem wszystkie rekwiizyty tradycyjnej powieści sensacyjnej. Rzecz dzieje się więc w egzotycznych stronach, wprawdzie nie na bezludnej wyspie na Pacyfiku ani w lukusowym kurorcie dla milionerów na Jawie, ale daleko na Wschodzie, na obszarach Mongolii, pograniczach Rosji i Chin. Jest oczywiście i baron, mający równie wspaniałe parantele, jak ambicje i równie długą listę antenatów, jak długów, człowiek twardy niczym czarny charakter z westernu. Jest wreszcie ukryty skarb, o którym każdy wie coś, ale którego odnaleźć nie sposób, chociaż autor dokładnie oznaczył jego położenie na załączonej mapce. Są wreszcie uwikłanki w dziwne, dalekowschodnie konfliktu nasi rodacy, którzy nie wiedząc czemu się tam znaleźli, ludzie których nazwiska są znane, natomiast przygody w tych stronach wciąż owiane mgłą tajemnicy.

To wszystko składa się na książkę Witolda St. Michałowskiego „Testament barona”, której drugie wydanie daje nam do rąk Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza (1973), książkę, która była nie-

dawno podstawą dla nakręcenia telewizyjnego filmu o baronie Romanie von Ungern — Sternbergu, który z esaula służącego w zagubionej na wschodzie jednostce carskiej armii stał się później dowódcą Azjatyckiej Dywizji Konnej i niesławnej raczej pamięci „bohaterem” walk z Rewolucją, z bolszewikami oraz z czerwonymi partyzantami w Mongolii, jedną z najbardziej krwawych postaci kontrrewolucji wymierzonej przeciwko młodej władzy radzieckiej. Koniec działalności barona Romana jest na ogół dobrze znany. Resztki Azjatyckiej Dywizji Konnej zostały rozbite przez Armię Czerwoną, oddział stanowiący eskortę barona oddał bez walki broń przed szwadronem zwiadu 35 pułku kawalerii. Jeniec został natychmiast dostawiony przed oblicze dowódcy Konstantego K. Rokossowskiego.

Historia „krwawego barona” kończy się na sali Rewolucyjnego Trybunału Syberii. Oskarżony zachowuje się wyzywająco. „Od tysiąca lat Ungernowie rozkazywali innym, nigdy od nikogo nie przyjmując rozkazów” oświadcza. „Odmawiam uznania rządów klasy robotniczej. Jak człowiek, który nigdy nie

miał nawet zwykłego służącego, może mówić o rządzeniu!” Na mocy wyroku sądowego Ungern zostaje rozstrzelany 17 września 1921 r.

Cóż zawiódło do Ungerna byłego radcę admirała Koleczaka i wykładawcę chemii z geografii gospodarczą na wyższych uczelniach w Omsku, Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego, w niedalekiej już przyszłości znanego polskiego pisarza? Może zadania wywiadowe, wypełnianie dla Amerykanów w 1919 r. ukazał się w Stanach Zjednoczonych rzekomo autentyczny zbiorek dokumentów pt. „Spiszek niemiecko-bolszewicki”, mający służyć za koronny dowód powołania przywódców partii bolszewickiej z kaiserowskimi Niemcami, z którymi Rosja prowadziła przecież wojnę. Tekst z tymi tekstami została zakupiona od pewnego Rosjanina przez Edgara Sissona. Rozpętano wokół tych „dokumentów” ogromną wrzawę. Tymczasem po upływie wielu lat, bo po drugiej wojnie światowej, skoro oryginalne owoce papierów zostały ujawnione grafologowie wykazali, że podpisy m. in. F. Dzierżyńskiego, L. Trockiego i innych działaczy, zostały położone ni mniej ni więcej, ale ręką... A.F. Ossendowskiego.

Czy błyskotliwe relacje pisarza o przygodach na Wschodzie są prawdzi-

wymi opisami rzeczywistości, czy też prawda miesza się w nich z błągiem? Na pytanie to stara się odpowiedzieć W. St. Michałowski. Na pewno blagi było wiele, sporo jednak i celowego kamuflażu. Dlaczego? Czyżby chodziło o ukrycie wiadomości dotyczących legendarnej skarbu „krwawego barona”, złożonego z olbrzymiej ilości zabawianych klejnotów, przedmiotów kultu religijnego, wyrobów z cennego kruszcza...?

Autor „Testamentu barona” wyrusza na poszukiwanie skarbu podobnie jak inni łowcy tajemnic starają się odnaleźć ową zrabowaną i ukrytą przez Niemców bursztynową komnatę. Tropi losy skarbu, który do dziś spędza sen z oczu sporej garstce ludzi. Ale przecież nie w owej podwójnie sensacyjnej warstwie narracji leży wartość jego pracy. Tak się składa, że przeciętny Polak (to ile w ogóle tak istnieją) znacznie lepiej orientuje się w geografii i historii Europy, niż innych stron świata, zaś o dalekim Wschodzie wie nieco więcej, niż nie. A przecież nie trzeba być znawcą międzynarodowej polityki, aby zdawać sobie sprawę, że takie zawężenie horyzontu znacznie utrudnia zrozumienie wielu najbardziej aktualnych problemów naszej współczesności. Rzeczywistość ma również i tam swoje historyczne korzenie, które zasługują na poznanie, skoro i ona nie ma być nam obca.

LEKTOR

ROZWIĄZANIE

(Wczesne przedpołudnie w angielskim klubie)

John: Halo, Betsy. Słoneczna mamy dziś pogodę.

Betsy: Halo, John. Co się stało?

John: Jesteś przerażliwie trze-

źwa.

Betsy: O tej porze, zawsze.

John: Rzeczywiście. Jedenasta.

Betsy: Nigdy nie przychodziłeś do klubu przed czternastą.

John: Ale dziś są moje zarę-

czyny.

Betsy: Gratuluje.

John: Lord Kilburn oczekuje mnie o osiemnastej.

Betsy: Masz kłopoty?

John: Nie mogę prosić o rękę Lili nie wykapany.

Betsy: Oczywiście, że nie.

John: Ale w związku z oszczęd-

nościami energięcznymi zaleca się kąpiele tylko we dwoje.

Betsy: Bardzo mi przykro, John,

ale kąpałam się już dziś z Bo-

hem — ma ślub, z Frankiem —

rozwódz się.

John: Betsy...

Betsy: Nawet przyjaźń z tobą

nie zmusi mnie do trzeciej kąpie-

li. Ale jest Molly. Poprosz ją.

Ona bardzo lubi się kąpać.

John: Halo, Molly.

Betsy: Molly, John ma kłopoty.

Molly: John? Nie wierzę.

Betsy: Naprawdę. O osiemnastej

prosi o rękę Lili Kilburn.

Molly: Aaaa, i pewnie chce

się wykąpać.

John: Zgadzaś.

Molly: Z Johnem Schlesingerem

kąpałam się o dziesiątej, miał

kaca, o dziesiątej z Rayem Mil-

tonem, o dwunastej miał randkę z

Kitty. Billy godził się z żoną,

Milford śpieszył na przyjęcie, wy-

bacz — jak cię kocham — cztery

kąpiele w ciągu pół dnia...

John: Nie jestem sadyzą, ale

ja nie mogę prosić o rękę Lili nie

wykapany.

Betsy: Poprosz Lili.

Molly: Nie wypada.

John: Kąpieliśmy się razem, kie-

dy nie było ograniczeń. Ale dzi-

śnij nie sądzę, żeby to było w

dobrym tonie.

Betsy: Odiłż zaręczyny... Nie

możesz?

John: Raczej, nie.

Betsy: Nie możesz pójść do

wanny z lokajem?

John: Nie! To byłby skandal.

Molly: Skandal? Świnstwo, zwy-

czajne świnstwo.

Frankie: Halo... Słuchajcie, w

życiu nie miałam takiego powo-

żenia!

Betsy: Pachniesz przynajmniej

pięcioma kąpielami.

Frankie: Jeszcze trzy, mnie oze-

kają.

John: A to pech.

Frankie: Pewnie nie masz się

z kim wykąpać.

John: Właśnie.

Frankie: Na pomoc panien z

towarzystwa nie licz, wszystkie

zajęte. Ale, jeśli nie boisz się

wydatków, wydzwoń jaką cali-

girl.

John: W takiej chwili?

Frankie: A co?

Molly: John chce się wykąpać

przed oświadczeniami.

Frankie: Ach, prawda. Szkoda,

ehetnie bym się z tobą wykapała.

John: Rozumiem. Wszystko ma

swoje granice.

Molly: Wykap się sam.

John: Co takiego? Mam zżamać

obowiązujące przepisy?

Molly: No, skoro nie ma innego

wyścia.

John: Wybacz, moja droga. Kie-

dy kraj w potrzebie, sam do wan-

ny nie wejdę.

Betsy: Mam!!

Frankie: Co?

Betsy: Pomyśl.

John: Słucham.

Betsy: Wykap się z ojcem Lili.

John: Z lordem Kilburn? Prze-

cież on ma już osiemdziesiąt lat!

Frankie: Widziałam go na pla-

ży. On jest pomarszczony jak sta-

ry kartofel.

John: Brrr...

Molly: Wspaniały pomysł. Za-

nim się oświadczyz, zostaniesz

przyjaciółmi.

John: Co masz na myśli?

Frankie: Nie zakochał się w te-

bie.

Molly: W tym wieku?

Frankie: Nigdy nie wiadomo.

John jest przystojny.

Betsy: Więc jak? Zgadzasz się?

John: Czy ja wiem?

Betsy: Mój kochany, Lili jest

moją przyjaciółką od dziecka i nie

dopuszczę, żeby jej małżeństwo

rozbiło się o głupia kąpiele.

John: Nie wiem...

Molly: Idź, zadzwoni!

Frankie: Pomyśl, co musi prze-

żywać w tej chwili Kilburn. Osem-

dziesięcioletni wdowiec, sknera, a

przede wszystkim... Lord

Kilburn jest zachwycony twoim

pomyślem. Bierz szlafrok, mydło

i ręcznik. Lord oczekuje cię w

kapłelowym. Powiedziała, że jeśli

dzisiejsza kąpiel się uda, możesz

liczyć w przyszłości na jego to-

warzystwo.

KAROL OBIDNIAK

Pani Ansberta z Badyńskich Rogolińska, secundo voto Marcinowa Michalska w 1863 roku była już właścicielką Radogoszcza, majątku położonego tuż przy trakcie, wiodącym z Łęczycy do Łodzi. Już samo położenie tej posiadłości miało swoją ranę, szczególnie w zestawieniu z małą wioseczką Krzycz w powiecie łaskim, dokąd swego czasu, po ślubie, przywiózł swą młodą żonę pierwszy mąż pani Ansberty, Zygmunt Rogoliński.

Niewiele lepiej przedstawiały się też późniejsze dzierżawy jej drugiego męża, Marcina Michalskiego, i dopiero, gdy ostatni dziedzic Radogoszcza, pan Stanisław Strzałkowski, schodząc bezpotomnie ze świata, przypomniał sobie o dalekiej krewnej, którą zapamiętał jako piękną dziewczynę, wcnodzącą dopiero w życie, i zapisał jej swój cały majątek, pani Ansberta dostała godną swą urodę i ambicję oprawę. Takim to łatwym, a zgoda nie oczekiwany sposobem doszła więc pani Ansberta jeszcze w kwieciele wieku, jeżeli nie do bogactwa, to w każdym razie do dużego dostatku. I byłaby chyba zupełnie z życia zadowolona, gdyby nie córka, jedyna i nie mniej od matki piękna — Maria. Skąd się wzięła w tej starannie wychowywanej dziewczynie lekceważący stosunek do pieniądza, do wygodnego życia, do zabawy, nie trudno było odgadnąć, tym, którzy znali poprzednio ojca Marii, Pan Zygmunt, zdaniem wielu, tak samo był „lekkomyślny”, uchodził wręcz za romantyka. Ten to romantyzm właśnie, a nie co innego, doprowadził go do ruiny, gdyż biorąc gorący udział w powstaniu listopadowym, stracił w nim nie tylko zdrowie, ale i rodzinne włości. Wprawdzie Maria była małą dziewczynką, kiedy zmarł z odnowionej rany, więc o jakimś wpływie ojca nie mogło być mowy, a jednak panująca widać córce swe dziedzictwo z krwią, gdyż ledwie znaczący krótki sukces przejawiając zaczęła cechy jemu właściwe. Zamiast cieszyć się razem z matką dostatkiem, uczęszczała na zabawy i stroić się, a przy tym rozglądała za dobrą partią — interesowała się sprawą narodową, ludem wiejskim i wszelką biedotą. Gdzie i kiedy romantyczna Maria poznała zdeklasowanego szlachcica, Konstantego Piotrowicza, który w tych właśnie czasach był nauczycielem w Chocianowicach, pod Łodzią, nie wyszło nigdy na jaw. Podobno zdarzyć się to miało w Łodzi, na jakimś tajnym zebraniu u księdza Czajkowskiego, wikarego parafii Marii Panny. Trudno było uwierzyć potem rodzinie i dalszym znajomym, że Maria, mająca zaledwie lat 17, wyszła za mąż za tegoż właśnie chłopskiego belferzyna, Piotrowicza. Wbrew woli matki oczywiście. Zdaniem pani Ansberty i wbrew wszelkiej logice, a ku zgubie własnej.

Tak się jednak stało i odtąd wyrodna córka rzadkim bywała gościem we dworze radogoskim, gdzie bawiono się dużo i luźno. Bywali tam nawet oficerowie rosyjscy i kto wie, czy nie ta okoliczność właśnie była drugim powodem do rozdziału między żadną zabawy matką, a patriotycznie usposobioną córką. Nawet urodzenie dziecka nie wpłynęło na poprawę stosunków. Pani Ansberta nie była spragniona wnuków. Wręcz przeciwnie: chciała uchodzić za młodszą, niż była, uważała to niemal za nieodzowny warunek swego powodzenia u mężczyzny.

Odbiegający od wzoru matki charakter Marii wywodził się jednak nie tylko ze szlachetnego dziedzictwa po ojcu. Kształtowała go atmosfera, panująca wówczas w kraju, w którym dorastała. Były to ponure czasy, wynikiem z którego powstania listopadowego, czasy nieprawdopodobnego ucisku, dławienia wszelkiej myśli o wolności. Generacja Marii i jej męża, formowała swój światopogląd na poezji romantycznej i pismach emigracji, nawołujących do nowej walki powstańczej, do pracy wśród ludu, który należało przygotowywać do przyjęcia wolności i walki z bronią w ręku.

Któż, jeśli nie młodzież miała podjąć tak zaszczytne hasła? Któż, jak nie młodzież chciał przyspieszyć tę „chwilę osobliwą” — możliwości otwartej walki?

Oboje Piotrowiczowie już w 1861 roku należeli do grupy inteligencji, która na terenie Łodzi i jej okolic zaczęła szerzyć tajną propagandę patriotyczną wśród robotników, rzemieślników i chłopów. Początkowo była to luźna grupa ludzi dobrej woli, różnych zawodów. Byli wśród nich: wikary parafii Marii Panny, ksiądz Józef Czajkowski, b. student uniwersytetu kijowskiego — Jan Zieliński, aplikant sądowy Piotr Danilewicz, praktykant farbiarscy Anastazy Bitdorf i Antoni Lebel, fotograf Józef Zajackowski, dzierżawca rolny z Dąbrówek pod Zgierzem Józef Sawicki, rzadca dóbr Rudy Fabianickiej, Aleksander Rzewuski, oboje Piotrowiczowie.

W miarę rozwijających się wypadków, powstania w Warszawie Komitetu Centralnego i rozszerzonej na prowincję organizacji narodowej przedpoważającej, wszyscy oni weszli do sprzysiężenia, a ich działalność zmieniła charakter partyzancki w akcję, podlegającą już rygorom sprzysiężenia ogólnego.

dyna córka, dwudziestotrzyletnia do niedawna „piękna panna Maryjka”, od pięciu lat — pani Maria Piotrowiczowa. Obydwie kobiety przyjrzały się sobie uważnie zanim padły pierwsze słowa:

— I cóż, nie witasz się z matką? — zagadnęła pierwsza pani Ansberta, siłąc się na spokój.

— Owszem, tylko bućki mam błotem umazane, a tu przecież dywany...

— Już o tych obłożonych bućkach slyszalam od służby. Dałabyś znać, posłałabym powóz po ciebie.

— Chłop z Chocianowic podwiózł mnie wozem.

— Wozem? Ty, z domu Rogolińska, wozem chłopskim podróżujesz?

— Tak mi wygodniej i... bezpiecznie.

— Ciągłe jeszcze zajmujesz się polityką?

— Jak najbardziej. Czasy i wypadki są coraz ciekawsze...

— Slyszalam, w Warszawie była branka. Wszystkie wróble o tym wiedzą. Lecz co z tego?

— Na razie nic, ale wkrótce...

— Slyszalam także o tym „wkrótce”. Czy ta twoja niespodziewana wizyta ma z tym właśnie coś wspólnego?

— Przykro mi, że nie mogę zaprzeczyć.

— Widziano cię w Łodzi... w towarzystwie jakiegoś fo-to-grafa?

— Istotnie, fotografowałam się w zakładzie pana Zajackowskiego. Nie powinna mnie mama za to ganić. Toć to ostatnia moda.

— A ksiądz wikary?

— Co za wikary?

— Niby to nie wiesz: ksiądz Józef Czajkowski. Msze mu pomagasz odprawiać?

— Jest się za co modlić, mam.

— Dobrze, dobrze, ale skąd ta nagła pobożność? A twój mąż — co?

— Q co mamie chodzi?

— Co robi?

— Dzieci uczy.

— Wciąż tylko chłopskie dzieci uczy. Chciałabym wierzyć. Po co ci ten kożuch?

— Potrzebny?

— Dla kogo?

— Komu przypadnie.

— Aha. A nie żal ci, że pamiątkowy? Kulą dwakroć przebitą...

ANNA MARKOWA

KOBIETA I MĘŻCZYNA

Mężczyzna który wkroczy
W ową smugę cienia
Zastępuje na ciszę
Pochyla się nad nim
Znawcy uczuć człowieczych
Rozdmuchają płomień
Będa grać nad nim dłonie
Odprawia misterium

Kobieta która wkroczy
W ową smugę cienia
Zastępuje na litość
Na śmieszek perlisty
Jeżeli płonie płomień
Zadepczą nogami
Zatrutą pogardą
Słowami zasypia

Mężczyzna który wkroczy
W ową smugę cienia
Zostanie bohaterem
Czas się go nie ima
Brudny na jego twarzy
Ociepłość powiek
To wszystko jest świadectwem

Człowiek pełny — życia

Kobieta która wkroczy
W ową smugę cienia
Szumina pudrem uśmiechem
Będzie się tłumaczyć
I każe jej przepraszać
Za spóźniony pożar
Spróbuje być szczęśliwa
Jeśli ją pokocha
Byle głupiec —



EWA FILIPCZUK



Twoja poprawna obojętność,
jak gdybyś była jedną z wielu;
wybrana, ale nie czekana.

Chłód w oczach. Nocą, gdy śpi dziecko
nie uniesienie, ledwie podróż,
tak blisko, że do chmur nie sięga.

A dom nasz? Widzisz go na niebie?
Nie ma i nigdy już nie będzie,
więc nie szukamy, nie znajdujemy.

Jesteśmy sami. Wszystko wokół
wyblakło, zgasło. Czy jest sposób,
aby powrócić przez milczenie?

Płonie niedostrzeżony ogień,
czają się kłamstwa i nadzieje.
A dom nasz? Nie ma i nie będzie.



NA RADOGOSKIM DWORZE

ZOFIA LORENTZ

Którejś niedzieli, w drugiej połowie stycznia 1863 roku, pani Ansberta już od godziny zajęta była tylko sobą. Stała bowiem wobec trudnego problemu — wyboru stroju na planowany wyjazd do Łodzi. Zamierzała wysłuchać mszy świętej w kościele Najświętszej Marii Panny, a potem odwiedzić modną w tym czasie cukiernię „Warszawską” Szwetysza na zbiegu Nowego Rynku i Konstancyńskiej. Kobiety z towarzystwa nosiły już wówczas stroje żałobne. Należało to do dobrego tonu, nie mówiąc już o obowiązku narodowym. Pani Ansberta jednak nie do twarzy było w czarnym kożurze i to właśnie stanowiło przyczynę jej głębokiego namysłu i wahań.

Od czasu, gdy z ubogiej dzierżawy swego drugiego męża przeszła do odziedziczonego w spadku po dalekim krewnym radogoskiego dworu, jej ambicje okazywania obecnego dostatku rosły z dnia na dzień. Nie pomijała teraz żadnej okazji, by zażywać elegancją osobistego stroju i świetnością swego zaprzęgu. Niestety mąż jej, pan Marcin, nie stanowił dobrej oprawy dla jej pańskości, toteż pani Ansberta otaczała się zlotą młodzieżą z okolicznego ziemiaństwa, nie gardząc w szczególnych wypadkach i rosyjskimi oficerami z garnizonu łódzkiego.

Zdecydowała się właśnie z ciężkim westchnieniem na czarną, aksamitną salopę z sobolowym kołnierzem, gdy przez uchylone drzwi jej gotowni wsunęła się głowa pokojowej.

— A co? — spytała pani Ansberta, — sięgając po mufkę — czyżby już powóz zjechał?

Pokojowa miała tak dziwny wyraz twarzy, że pani Ansberta odrzuciła na fotel kolejno salopę, a potem mufkę i siadłszy na nich, nie bacząc, że pognieść je może — zapytała cichym głosem:

— Czy... może... i urwała. Pokojowa skinęła głową: — Przyszła.

— Jak to „przyszła”? Przyjechała chyba?

— Nie. Przyszła piechotą. A jeszcze jaka zabłocona!

— Boże miłosierny! I co mówi? — Chce się z panią Dziedziczką zobaczyć.

— Ha! Więc jednak zjawiała się! — wykrzyknęła triumfalnie pani Ansberta. — Zmądrzała nareszcie. Obrzydła jej „praca dla ludu” i zdeklasowany belferzyna!

Pokojowa nie podzielała widocznie opinii swojej pani, gdyż wyraz jej twarzy pozostał nadal ztroskany. Pani Ansberta zdawała się jednak tego nie wjdzieć. Zerwała się z łóżka i właściwym sobie apodyktycznym tonem, którym posługiwała się wobec służby — rozkazała:

— Proś ją tu. Na co czekasz? — Panienska poszła najwprzód na strych...

— Na strych? — zdumiała się pani Ansberta.

— Panienska przyszła po kożuch.

— Po kożuch? Jaki kożuch? Co ty gadasz, idiotko?

— Pytała się starą Agnieszkę, gdzie jest schowany tatusiowy kożuch.

No, to Agnieszka pamiętała, że kożuch nieboszczyka pana jest schowany w kuftrze, na strychu i...

Pani Ansberta opuściła się ciężko na kozetkę i tak zbladła, że pokojowa przerwała relację i podbiegła, chcąc panią ratować od zemdlenia. Ta jednak krzyknęła histerycznie:

— Wynos się. Słyszysz? No, wynos mi się natychmiast! Albo czekaj. Gdzie ona poszła? Na strych, mówisz?

— Tak, proszę pani dziedziczki.

— Biegnij tam. Powiedz, żeby nie ruszała tego kożucha.

— Dobrze, proszę pani.

— Czekaj. Żeby tu najpierw przyszła. Rozumiesz? Żeby najpierw — tu.

— Rozumiem, proszę pani dziedziczki.

Pokojowa wybiegła w popłochu, trzaskając drzwiami, co było surowo przez panią wzbronione, a nawet karane.

Pani Ansberta podeszła do lustra i łabędzim puszką, nasączoną zagranicznym pudrem usiłowała zetrzeć z twarzy ślady wzburzenia. W parę chwil później na progu gotowni pani Ansberty stanęła jej je-

Amerykańska gazeta „GUARDIAN” opublikowała w tych dniach artykuł Erwina Silbera, w którym czytamy:

„Dzielo Solżenicyna to jedynie antologia dziwacznych poglądów, domysłów, pustej gadaniny i rozważań się nad samym sobą, która być może zasługiwałaby na uwagę, gdyby znaczenia Solżenicyna nie rozdzieliło w sposób sztuczny i gdyby istotnie był znakomitością w skali światowej... I „Archipelag Gulag”, i niewiarygodna reklama tego utworu, to szczerze mówiąc — oszustwo”.

Autor pokazuje, jak bzdurne pogłoski przefiltrowane przez książkę Solżenicyna, przybierają na stronach burzycielskiej prasy postać „wiarygodnych faktów”. Jeśli Solżenicyn, powiedzmy, napisze, że „w Moskwie chodzą słuchy”, to „New York Times” podchodzi do tych stwierdzeń jak do rzeczywistości, od niechęci dodając na końcu: „Pan Solżenicyn poinformował, że oficjalnie fakt tego nie potwierdzono”.

Jednak, kiedy od poglądów Solżenicyna przechodzi do konkretnych faktów, to według Silbera, cała jego konstrukcja wymyślona wali się na podobieństwo domu z kart. Ot, na przykład historia z „bezpamiętnym uwieszeniem” samego Solżenicyna, oddana przez „Archipelag Gulag”. Analizując ją, autor artykułu dochodzi do wniosku:

„Widać więc, że fałszywego oskarżenia nie było. W istocie rzeczy, pozostaje wrażenie, że kara była w pełni zasłużona. Zwłaszcza, że wymierzono ją oficerowi, znajdującemu się w warunkach frontowych”.

Jeszcze bardziej charakterystyczny był przypadek z trzema „niewinnie oskarżonymi”, o których pisze Solżenicyn na pierwszych stronach książki. Na jego pytanie o przyczynę aresztowania, odpowiadał:

„Nie mamy najmniejszego pojęcia”. „Potem okazało się — kontynuuje Silber — że jednak mieli jakieś pojęcia, za co zostali aresztowani... Trzej żołnierze wypili znajdują się na służbie i usiłowali dokonać gwałtu na dwóch kobietach (przy czym nie wolno zapominać, iż jest to tylko ich własna wersja)...”

Czego dowodzi Solżenicyn?

„Mielibyśmy prawo, uczciwie serca żołnierzy — pisze o pijanych gwałcicielach — Wszyscy byli oficerami” — dodaje w nadziei, że będzie to stanowić argument na ich korzyść. Solżenicyn, rzecz prosta, nie zdaje sobie sprawy z tego, że fakt ten przygważdza ostatecznie i podważa ich odpowiedzialność”.

„Z pewnością żaden pracownik aparatu propagandy w Moskwie — pisze dalej Silber — nie mógłby lepiej zilustrować przykładem wysokich wymagań stawianych przez radziecką dyscyplinę i moralność. Dziwnie jest tylko to, że Solżenicyn nie rozumie, iż sam się przygwoździł tym przykładem”.

„Ślepy antykomunizm Solżenicyna — kontynuuje autor — osiągnął apogeum, kiedy usprawiedliwia Andrzeja Własowa, generała radzieckiego, który dostawczy się do niewoli w czasie II wojny światowej, zaczął współpracować z faszystami i powołał hordy zdrajców przeciwko Armii Czerwonej”.

Nie jest dziwne, że w „Archipelagu Gulag” propaganda burżuazyjna dostrzegła „idealną szansę” zdyskredytowania socjalizmu. Poruszając sprawę zasadniczych zmian w świecie, autor pisze:

„W takim momencie idee socjalizmu uzyskują nowe szanse, gdyż narody świata zaczynają poszukiwać politycznych i ekonomicznych alternatyw kapitalizmu. Burżuazja poczuła to i dla tego właśnie tak naturalnie u niej dążeń do zdyskredytowania socjalizmu wydobyło się obecnie bliższe niż kiedykolwiek”.

Istotnie, apologetki kapitalizmu radośnie uśmiechają się na myśl o utworze Solżenicyna, który afizkuje się z zamiarem „zdemaskowania” ustroju socjalistycznego. Ale, podkreśla „GUARDIAN”:

„Solżenicyn demaskuje jedynie samego siebie, a także tych wszystkich, którzy ześrodkowując swoje zainteresowania na własnych przeżyciach burżuazyjnego inteligenta, który odrzucił szansę zawarcia sojuszu z proletariatem, i pod jego dowództwem obalił imperializm i rozpoczął budowanie nowego ustroju, ustroju jutra, socjalizmu”.

Autor kończy: „Solżenicyn obecnie bez ogródek wypowiada skrywane uczucia. Choć Solżenicyn twierdzi coś przeciwnego, on był w rzeczywistości nastawiony wrogo do Władzy Radzieckiej długo jeszcze przed aresztowaniem i osadzeniem go w zamknięciu. Jasne, że jego ataki przeciw bezprawiu podjęte zostały nie dlatego, żeby udowodnić naruszenie zasad socjalistycznej demokracji, a w celu odzyskania socjalizmu jako światopoglądu”.

Tłumaczył B. P.

Na spustoszonej ziemi Południowego Wietnamu panuje terror i bezprawie. W Sajgonie ludzie nadal umierają w sposób gwałtowny: rozstrzelani na ulicach, śmierć podczas tortur w więzieniu Szi-Hoa, samobójstwa z głodu. Widok tego miasta i panująca tam atmosfera są nie do opisania. Wszędzie żołnierze-roboty uzbrojeni w broń automatyczną — na ulicach, na drogach, przed budynkami władz państwowych. Na każdym skrzyżowaniu ulic policjanci, umundurowani i po cywilnemu, młodzi i starzy, wszyscy z bronią w ręku.

Z czasem, być może, można by się do tego przyzwyczaić, tym bardziej, że policji pełno i w hotelach. Ale nie można się przyzwyczaić do bezgranicznej nędzy, w której pogrążona jest niemal cała ludność Południowego Wietnamu.

W 1969 roku stanowisko premiera zajmował Czan Wan Hong. Rozpoczął walkę z korupcją, ale już po kilku miesiącach przyznał się publicznie na konferencji prasowej, że ponosił całkowitą klęskę, gdyż musiałby zwolnić z pracy absolutnie wszystkich urzędników, wszyscy bowiem są zamieszani w skandaliczne afery łapówkowe i wymuszanie. W 1971 roku, kiedy został wiceprezydentem, ponownie próbował położyć kres tej klęsce narodowej. Parę miesięcy później zwrócił się do swoich współpracowników: „Wszelkimi panującą korupcją przypomina żmije. Jeśli chcesz ją zabić, musisz celować w głowę, a jeżeli uderzysz ją po ogonie — ukaże. Ale ta głowa jest o wiele silniejsza ode mnie i za słaby jestem, żeby żmiję zabić”.

Wszyscy siedzą po uszy w korupcji, a przede wszystkim cała wojskowa góra. Bajecznie wzbogacona, lokuje kapitały na kontach zagranicznych banków. Generalowie skupują ryż i benzynę i sprzedają na czarnym rynku po fantastycznych cenach. Brat pewnego majora, naczelnika powiatu w prowincji Tainin, powiedział w wielkim zaufaniu korespondentowi mediolańskiego „Tempa”, że major ów zrobił niedawno niezły interes, odsprzedając właśnie ryż i benzynę. Ale — dodał — tym razem nie zarobił wiele: zaledwie 14 milionów piastrow. (1 dolar = 560 piastrow).

Były kasjer magistratu miasta Dalata powiedział otwarcie, że nawet urzędnicy zajmujący bardzo eksponowane stanowiska otrzymują nie takie znowu wysokie wynagrodzenia i po stopie życiowej, na jakiej żyją, nie trudno odgadnąć, że na pewno kradną. Co więcej, profesor Tuń, doradca wiceprezydenta Południowego Wietnamu, powiedział nie owijając w bawełnę, iż wszystkie stanowiska państwowe sprzedaje się niemal oficjalnie. Na określone funkcje wyznacza się nie tych, którzy na to zasłu-

gują, lecz tych, którzy więcej zapłacą. Do zdobycia stanowiska potrzebne są tylko pieniądze, a jego cena zależy od wagi, otrzymywanych poborów, od możliwości wglądu w handel itp., itd.

Korupcji towarzyszy brutalna walka o egzystencję. Na każdym kroku spotyka się nędzarzy przysmaranych głodem, okaleczonych, zniekształconych inwalidów, pragnących wzbudzić współczucie. Ale najostrzejszy widok przedstawiają dzieci. Próbuje w jakikolwiek sposób zdobyć choć parę piastrow, obiegają cudzoziemców proponując im czyszczenie butów, pomoc w niesieniu torby, kupienie gazety, kwiatów, czy jakiejś pamiątki z Sajgonu. Potrzebne im są pieniądze, żeby wieczorem móc się opłacić swoim „opiekunom”; jeśli ich nie mają zostają wyrzuceni na ulicę. Ileż tu sierot...

Dorośli też muszą jakoś zarobić na życie. Wymieniają piastry na czarnym rynku, oszukują naiwnych, kradną, a często po prostu grabią, nie cofając się przed gwałtem. Inni sprzedają papierosy i narkotyki — marihuane i heroine. Zażywanie narkotyków jest tak powszechne, że zarówno starcy

chę niewielkich fabryczek, pracujących z reguły dla wojska. Rozpacz sięga zenitu. Korespondent jednej z gazet japońskich pisze, że niedawno pewna cała rodzina, składająca się z sześciorga osób, popełniła samobójstwo nie mając środków do egzystencji. Wypadki takie zdarzają się dość często. Tego minimum, które się produkuje obecnie, nie starcza nawet na potrzeby niesłychanie kosztownego aparatu wojskowego, i administracyjnego.

Armia Thieu szczyli się tym, że zajmuje trzecie miejsce w świecie pod względem liczebności: 1.200.000 żołnierzy pod bronią, 230.000 policjantów, nieznana liczba tajnych agentów i wreszcie uzbrojonych w krabiny 15-16-letnich chłopców, którzy pełnią służbę w nocy w czasie godziny policyjnej. Placi się im nieregularnie, są stale głodni. Są to właściwie jeszcze dzieci i niemal każdego dnia zdarza się jakiś tragiczny wypadek. Często chodzą po domach i pod pretekstem sprawdzania dokumentów wyszukują po mieszkaniach i kradną lub wymuszają pod groźbą broni.

swych zeznaniach, że w więzieniach najbardziej zdeklarowani przestępcy pełnią funkcje nadzorców — „kapo”. Niemal wszyscy zażywają narkotyki i za okazaną lojalność wobec reżimu mają wolną rękę w manifestowaniu swoich najniższych, najbardziej zwierzęcych i sadystycznych instynktów, znęcając się nad więźniami.

Cała władza sądowicza znajduje się w rękach trybunałów wojskowych. Wojsko jest zainteresowane w utrzymaniu stanu wojennego, pozwala to bowiem na nieustanne zabieganie o pomoc amerykańską, co pozostaje w jawnej sprzeczności z punktami 4 i 5 Porozumienia Paryskiego o wycofaniu wojsk Stanów Zjednoczonych z Południowego Wietnamu. Według oficjalnych dokumentów, rząd USA asygnował na sajgońskie więzienia i policję w latach 1967—1972, 74 miliony 267 tysięcy dolarów, zaś w roku 1973 — 6 milionów 805 tysięcy dolarów.

Amerykański Urząd Rozwoju Międzynarodowego przyznaje, iż „większa część pieniędzy, które wydają Stany Zjednoczone na te cele, zostanie w bieżącym roku przekazana rządowi sajgońskiemu na obronność kraju”. W ten sposób wydatki rządu sajgońskiego na obronę, policję i więzienia będą finansowane przez Amerykański Urząd Rozwoju Międzynarodowego, z naruszeniem Porozumienia Paryskiego.

„Vietkongowcy” — tak prasa burżuazyjna nazywa południowowietnamskich patriotów Frontu Wyzwolenia Południowego Wietnamu — są zmuszeni do odpiierania nieustannych ataków wojsk Thieu na wyzwolone rejony, zarządzane przez Tymczasowy Rewolucyjny Rząd Republiki Południowego Wietnamu, by przeciwstawiać się próbom Sajgonu stworzenia tam swoich punktów oporu. Prowokacje te zawsze doprowadzają do krwawych walk, głównie w delcie rzeki Mekong. Biskup Kontuma Seltz dożył świadectwa, że wszystkie zbrojne starcia na terenie jego diecezji prowokuje reżim sajgoński. Tymczasem prasa sajgońska usiłuje przerzucić odpowiedzialność za to na Vietcong, a przecież wojska Thieu w ogóle nie otrzymały rozkazu przetrwania ognia. W wyniku tych pogwałceń Porozumienia Paryskiego każdego tygodnia setki ludzi traci życie. Miejscowe gazety nie informują o niczym. Zachodni dziennikarze spędzają przyjemnie czas w hotelu „Continental” nie myśląc o informowaniu światowej opinii publicznej o tragicznych wydarzeniach rozgrywających się na ich oczach. Wiedzą o dziesiątkach tysięcy amerykańskich żołnierzy poprzehieranych w cywilne ubrania; niektórzy z nich znajdują nawet pokoje w „Continentalu”, sprzedając broń zagranicznym handlarzom. Ci niezłotni dziennikarze, którzy próbowali opisać tę całą tragedię, zostali wydaleni z Południowego Wietnamu. Panoszą się dyktatorzy i urzędnicy, panuje terror, obficie żniwo zbiera śmierć. Los narażony wietnamskiego w tej części kraju jest zagrożony.

JERZY CZECH

ŚMIERĆ GRASUJE NA ULICACH SAJGONU

jak i dzieci przygotowują „specjalne” papierosy po prostu na ulicy. Kobiety także „handlują”. Starsze sprzedają jakieś drobiazgi i gotują strawę na podwórkach za rynkiem, młode sprzedają girlandy z kwiatów lub tanie ozdoby. Miasto tonie w prostytucach. Mówi się tutaj, iż po wyjściu wojsk amerykańskich około 300.000 dziewcząt „pozostało bez pracy”.

Gospodarka Południowego Wietnamu przeżywa pogłębiający się kryzys, o czym świadczy nieustanny i wprost katastroficzny wzrost cen. W ostatnich miesiącach cena ryżu wzrosła prawie 400-krotnie, place zaś pozostały na tym samym poziomie. Dodajmy do tego jeszcze miliony bezrobotnych, uciekinierów, inwalidów, kalek, którzy nie mogą pracować i dosłownie głodują.

Klepią błędy i średnie warstwy społeczeństwa. W kraju nie ma przedsięwzięcia przemysłowego, są tylko plantacje kaczuki, ryżu i kawy, tro-

Cała władza administracyjna spoczywa w rękach wojska. Kraj jest podzielony na cztery rejony terytorialne, na czele każdego stoi generał. Rejony są podzielone w sumie na 47 prowincji, a te z kolei — na kilka powiatów. Prowincjami rządzą pułkownicy, a powiatami — kapitanowie. Są to jedyni i całkowicie „gospodarze”. W warunkach tego chaosu rządzi się jak szare gęsi agenci CIA. W całym kraju panuje atmosfera ogólnej podejrzliwości, szpiegowania, szeroko rozpowszechnionych donosów. Nikt nikomu nie dowierza i niemal każdy stara się kogoś oszukać.

Niedawne „wydarzenie” w jednej z parafii w Sajgonie wskazuje do jakiego stopnia jest tutaj rozbudowana agenturalna sieć CIA: wśród papierów zmarłego niedawno księdza znaleziono dokumenty stwierdzające jego przynależność do... CIA.

W więzieniach korupcja sięga apogeum. Byli więźniowie potwierdzili w

POD ZNAKIEM ZMIAN RZĄDOWYCH

Niepewność, jaka towarzyszyła kampanii wyborczej w W. Brytanii, czy i która z dwóch głównych partii okaże się liderem, potwierdziła się w wynikach głosowania. Partia Pracy uzyskała 5-mandatową przewagę nad konserwatystami, czyli — sądząc po podziale mandatów — wynik jest remisowy. Dlatego też obaj przywódcy — Heath i Wilson natychmiast po ogłoszeniu wyników zadeklarowali gotowość utworzenia nowego rządu. Obaj mają po temu prawo, gdyż w W. Brytanii nie ma spisanej konstytucji, która by rozstrzygała kwestię podobną, jak ta. Obaj też powinni wejść w koalicję z Partią Liberalną (14 mandatów) lub innymi partiami (23 mandaty), aby zmontować większość w parlamencie. Stwarza to wielce skomplikowaną sytuację, z której w chwili pisania tych słów nie znaleziono rozwiązania.

Jednak na brytyjskie wybory trzeba spojrzeć nie tylko przez pryzmat podziału mandatów. Przywódcy partii rządzących w W. Brytanii ogłaszają zazwyczaj przedterminowe wybory dla umocnienia swo-

ich wpływów. Premier Heath został do tego zmuszony sytuacją społeczno-ekonomiczną kraju. Mimo to głosił, że nie abdykuje, ale zwraca się do wyborców o poparcie jego polityki. Nie otrzymał go. W kategoriach politycznych wynik wyborów jest przegrana Partii Konserwatywnej. Mają więc rację labourzyści, kiedy odmawiają swym rywalom prawa rządzenia państwem, twierdząc, że wyborcy wydali jednoznaczny wyrok. Najważniejszym hasłem Partii Pracy było przywrócenie w W. Brytanii pełnego dyktanda pracy. Większość społeczeństwa poparła to hasło, wyraziła wiarę, że labourzyści są w stanie skończyć z balaganem ekonomicznym kraju.

Na wyniki wyborów można spojrzeć także inaczej: wyraziło się w nich niezadowolone z przystąpienia Anglii do EWG.

Na kilka miesięcy przed wyborami, kiedy nie było jeszcze wiadomości, że kadencja rządu zostanie tak znacząco skrócona, jeden z emerytowanych już polityków brytyjskich powiedział w rozmowie ze mną, że żadna z

dwóch czołowych partii nie jest w stanie rozwiązać złożonych problemów kraju. Gdyby — twierdził — pojawiła się dobrze zorganizowana trzecia siła, wsparliby ją wyborcy.

Partia Liberalna oczywiście nie spełnia tych warunków. A mimo to umocniła swój stan posiadania i awansowała do roli przysłowiowego „języczka u wagi”. Może to w przyszłości zapowiadać zasadnicze zmiany na brytyjskim rynku wyborczym.

Komentatorzy brytyjscy przewidują, że ponowne wybory odbędą się jeszcze w roku bieżącym, ponieważ obecna sytuacja nie jest możliwa do utrzymania. Wszystko to piszemy niemal bezpośrednio po ogłoszeniu wstępnych wyników wyborów, czas, który dzieli dzień zamknięcia numeru od jego dotarcia do rąk Czytelników, może oczywiście wnieść pewne zmiany.

Dzisiejszy komentarz, zaczęliśmy od zmiany gabinetu — pozostawimy więc w tym kręgu tematycznym, poświęcając nieco uwagi zreformowaniu rządu we Francji.

Jak wiadomo z doniesień agencji, Pierre Messmer podał swój rząd do dymisji, po czym w kilka godzin po tym fakcie — prez. Pompidou powierzył jemu misję utworzenia nowego gabinetu. Messmer przyjął tę misję i wkrótce przedstawił skład rządu. Jest on poważnie zredukowany — o 7 ministrów i 2 sekretarzy stanu. W publikacjach prasowych podkreśla się, że liczebnie jest to najmniejszy rząd V Republiki. Na najważniejszych stanowiskach: ministrów Spraw Zagranicznych oraz Gospodarki i Finansów nie nastąpiły żadne zmiany. Za najistotniejsze przesunię-

cie uznaje się powierzenie teki ministra Rolnictwa dotychczasowemu ministrowi Spraw Wewnętrznych.

Czytelnik może więc zapytać: co oznaczają te zmiany?

Obserwatorzy twierdzą, że do ich przeprowadzenia zmusiła Pompidou sytuacja gospodarcza i złożone problemy polityki społecznej. Uznał za słuszną, aby utworzyć rząd bardziej „operatywny” i „zwarty”. Może on energiczniej przeciwstawić się inflacji, którą w skali rocznej określa się na 20 proc., a także nadciągającemu widmu bezrobocia.

Nowy gabinet — podkreśla się — będzie musiał wkrótce powziąć niezwykle trudne decyzje, które wzbudziły już wiele kontrowersji: o ile podwyższyć opłaty za gaz i energię elektryczną i w jakim stopniu powinny wzrosnąć ceny węgla?

Jeśli takie są rzeczywiście powody reorganizacji rządu francuskiego — można stwierdzić, że i w Anglii i Francji dotychczasowe gabinety przeżyły się o sytuacji ekonomicznej, spowodowaną głównie kryzysem paliwowo-energetycznym. Podkreśla to skalę zagadnienia, o którym na tym miejscu pisaliśmy już wielokrotnie.

Obrazu aktualnej sytuacji na Zachodzie dopełnia informacja, że na międzynarodowych rynkach cena złota wywindowana została do 150 dolarów za uncję, najwyższego poziomu, jaki zanotowano w historii tego szlachetnego kruszcu. W tym niespotykanym boomie na złoto wyraźnie się przekonało, że źródła obecnego kryzysu są trwałe i mogą wywołać jeszcze nie jedną trudność.

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Niedawno „Odgłosy” Krytyk miał twardy orzech do zgryzienia. Oto otrzymał wiersze, co do których nie miał całkowitej pewności, czy są to plagiaty. Odnalazł nawet wśród wierszy zapomnianych poetów Młodej Polski utwór dość zbliżony w charakterze, nastroju i budowie do wiersza przysłanego przez korespondenta. Stał więc przed problemem — plagiat czy podświadome „zasłuchanie się” autora w konwencji poetyckiej. Dodam zresztą, że takie „zasłuchanie” świadczy z pewnością o dużej wrażliwości.

Rola oceniającego wiersze nadsyłane do redakcji nie jest godna pozazdrośczenia. Nikt nie jest chodzącą antologią poezji polskiej i obcej — nikt nie zna wszystkiego, więc możliwość omyłki — duża.

Zdarzenie Krytyka, który miał wątpliwości co do oceny wiersza przypomniało mi, że nie on pierwszy przecież napotka na podobne kłopoty.

Oto, co pisze Boy-Zeleński o sprawie, która wydarzyła się około 1907 roku. „W Krakowie, w epoce bardzo już czynnego kultu Słowackiego, dwaj kawalarze wpadli na koncept, aby do redakcji jednego z tygodników posłać parę strof wyjętych ze środka znanego wiersza Słowackiego

MŁODY POETA i KRYTYK

„Do Laury”. W liście zespocznym błędami ortograficznymi młody debiutant prosił na zasadzie tej próbki o ocenę czy ma „talet” i czy ma dalej uprawiać niwe poezji. Jakaż była radość autorów listu, kiedy wyczytali taką „Odpowiedź od redakcji” — „Zapytuje pan czy pan ma „talet”. Otóż musimy panu powiedzieć, że nie mamy jeszcze miejsca do mierzenia „taletu”, posiadamy natomiast koszt redakcyjny... Dalej jako próbkę grafomanii... przytoczono nadesłany wiersz Słowackiego.

Myslenie może, że autorem tej „odpowiedzi” był jakiś nieuk? Otóż nie! Krytykiem, który dał się nabrać, którego zasugerowały błędy ortograficzne był ni mniej ni więcej tylko wybitny krytyk i historyk literatury Wilhelm Feldman (1868-1919) — autor m.in. dzieła „Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu”.

Podobna historia zdarzyła się po wojnie z wybitnym poetą (już nie żyjącym), któremu do redakcji „Nowej Kultury” grono znanych pisarzy nadsyłało wiersze pisane zespoczną dla zabawy. Poeta odpowiadał serio, wskazywał na bardzo cenne elementy wierszy, radził... Nie odkrył w tych utworach płochej zabawy, pustej igraszki słowem — szukał

bowiem innych znaczeń i — oczywiście — znajdował.

Czy takie „wpadki” kompromitują Feldmana i wybitnego poetę? Myślę, że chyba nie. Ocena bowiem — jak każdy czytelnik — ograniczony jest własnym subiektywizmem, własną pamięcią, wreszcie — co najważniejsze — nieświadomością, że jest nabywany.

Podam przykład. Grałem kiedyś w szachy z pewnym naukowcem, skądinąd wybitnym szachistą. Oczywiście — nie umiem grać w szachy, znam tylko ruchy figur. Minęło ponad pół godziny zanim wybitny szachista zorientował się, że gra z dyblantem. Po prostu moje głupie i bezsensowne ruchy brał za jakąś, nieznaną mu, strategię. Moim zupełnie — bezmyślnym posunięciem przydawał znaczenia i zamiary, których nie było.

Podobnie z „wpadką” wybitnego poety. W wierszach pisanych przez rozbowiałego towarzysza, bez sensu i ładu — szukał ukrytych znaczeń, których tam nie było.

Podobnie z „wpadką” Feldmana. W wierszu napisanym z błędami, z zalaczonym szubackim listem, szukał młodzieńczej grafomanii. I znalazł, choć to Sło-

wacki, bo trzeba Feldmanowi oddać sprawiedliwość, że utwór „Do Laury” nie jest najwybitniejszym osiągnięciem Słowackiego.

Myślę więc, że ludzie oceniający w pismach próby literackie (a rubryk takich jest sporo, prawie w każdym tygodniku kulturalnym), nie powinni się przejmować ewentualnymi pomyłkami. Przytoczone tu wyżej historie świadczą, że takie pomyłki zdarzają się największym.

Przed paru laty w pewnym bydgoskim piśmie znalazły się w „Pocztce literackiej” ironiczne słowa na temat wierszy młodego autora. Traf chciał, że po paru latach ów młody autor stał się idolem młodego pokolenia pisarzy. Chodzi o Rafała Wojackiego.

Wszystcy wówczas rzucili się na nieszczonego krytyka „że się nie pozna”. Moim zdaniem, nieporozumienie. Wojacek obok wierszy wstrząsających napisał sporo bełkotliwych utworów. Ale — gdyby nawet tak nie było — krytyk miał prawo ocenić wiersze zgodnie ze swoim poczuciem estetyki, a nie z estetyką Wojackiego. Zresztą — w czym rzecz? Prawdziwemu poecie żadna „pocztka literacka” nie zaszkodzi.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

PRECZ
Z PRZYTULNOŚCIĄ

Felietonista „Polityki” wymieniając w numerze z 23 lutego różne rodzaje fascynacji, jakie dają się zauważyć u naszych bliźnich w wielkich miastach, poświęca między innymi parę ciepłych, jak mi się wydawało, uwag „fascynacji drzewem”. Chodzi o urządzenie się w meblowanie, strojenie wnętrza, ucieczkę od muru, cementu, prefabrykatu. Ludziska „nie mogą iść do lasu, bo las daleko, więc jakiś odprysk tego lasu sprowadzają do domu, żeby — jak powiadają — duchowo ocieplać”.

W tym samym numerze „Polityki” Jan Walc z nieukrywanym politowaniem pisze o „przypadnym mieszkanku, jeszcze ze sztucznymi kwiatami w kryształowym wazonie, stojącym na środku okrągłego, na wysokim polysku stołu, jeszcze z widokami brzoza na ścianach, ale już z półkami na książki”.

Rozumiem całkowicie ludzi „zafascynowanych drzewem”, marznących w betonie, plastiku i prefabrykach, tęskniących za odpryskiem lasu. Dobrych reprodukcji (jeśli już nie dobrych oryginałów) z widokami brzoza to ten sam motyw, to przecież właśnie „odprysk lasu”. Widok brzoza z czymś się mieszkającemu kojarzy, coś przypomina, na pewno sprawy przyjemne i przypomnienia warte. Abstrakcyjna kreska z kropką, zimne półblaski-półcienie, nie kojarzą się z niczym i „duchowo nie ocieplają”. To chyba niesporny fakt.

Sporne pozostałoby zatem zagadnienie, czy „przypadny mieszkanko” (słowa, wymawiane w pewnym okresie z niemiernie głośnym, pełnym odrazy podtekstem), „ocieplone, o-swojone, stanowiące nie tylko jeszcze jedno miejsce chwilowego pobytu, ale dom w jego wszystkich znaczeniach — czy te pojęcia mamy neglować, ośmieszać, zwalczać — czy przyznać im jakąś pozytywną, humanistyczną treść? Wyzwalamy się z przesądów, to bardzo pięknie. Wyzwalamy się z poczucia więzów rodzinnych, sąsiedzkich i innych — to już może mniej pięknie. Czy mamy się wyzwolić także z potrzeby przytulności, a jeśli tak — to po co i w imię czego? Żeby ją zastąpić — czym?

A jeśli nie mamy się tej potrzeby wstydić — to gdzie ją najlepiej lokalizować, jeśli nie w domu? W klubie zakładowym? W świetlicy dzielnicowej?

Nie zgadzam się z Janem Walcem, że książki stanowią element przeciwny i obcy przytulności. „Jeszcze kryształ i stół z polyskiem, ale już — książki”. „Ale” — to właśnie

GLOBTROTTER

ĆWIEK

ciotrup. Z tego obrazowania wywodzi się popularny w ikonografii niemieckiej motyw Kobiety i Śmierci.

Ferdynand, król Kastylii, po zwycięskiej bitwie z Maurami, złożył w 1410 roku Zakon Zwierciadła NP Marii.

Speculum sine macula — zwierciadło bez skazy stało się w tychże czasach jednym z atrybutów niewinności i wchodziło do symboliki mariańskiej, co widać szczególnie w obrazach niderlandzkich mistrzów.

W Renesansie a nade wszystko w Baroku kobieta i lustro to częsty temat malarski. Wenera lub Zuzanna, tłuście lub bardzo tłuście, z lubością przeglądają się w zwierciadłach. Tycjan maluje „Toaletę Wenerę”, Tintoretto maluje „Zuzannę i starców”, Rubens maluje „Wenus przed lustrem”. Niccolò dell'Abbate maluje „Toaletę Wenerę”. Velasquez około 1642 roku maluje cudowną i o dziwo szczupłą Wenus, której Amor trzyma lustro. Wenus Velasqueza jest Hiszpanką, która wie, że jest piękna.

W starożytności, w Grecji, w republikańskim Rzymie bogowie i mężczyźni stronili od zwierciadeł. Jest to przedmiot kobiecy. Jedynie Dionizos, osoba wielce dwuznaczna, zabawia się lustrem.

Orficy, pitagorejczycy, neoplatonicy, asceci i purytanie byli zwierciadłom przeciwni.

Jadę z Kuluszek w stronę Paryża. W przedziale vis à vis mnie siedzą dwie dziewczyny. Obie ładne. Nawet bardzo ładne. Obie różne. Jedna jakby zeszła ze stron żurnala, bardzo modna i stylowa; druga — w dżinsach podwinionych do połowy łydek, w obcisłych kozaczkach, w jakichś swetrach i skórkach — też modna lecz inaczej. Obie co jakiś czas sięgają po lusterka. Strażniczek swoich stylów. Kapłanki swojej urody. Jedna, ta „klasyczna”, jedzie do Paryża na wernisaż swojej wystawy — jest rzeźbiarką. Druga — ta w dżinsach — z rozpuszczonym jasnym włosiem, jest fizykiem teoretycznym czy czymś takim i jedzie na roczne stypendium do jakiegoś francuskiego instytutu.

Spotkałem raz w pociągu faceta, który opowiedział mi historię, która przytrafiła się jego znajomemu. Otóż ten znany wyciągał kiedyś z wodnej toplei pewną młodą niewiastę, dodajmy, że nie tylko młodą, ale i ładną i zgrabną i w ogóle. Jednym słowem — uratował owej damie życie, zajął się nią jak prawdziwy dzentelmen z chrześcijańskimi nawykami, a więc zrobił jej sztuczne oddychanie, przebrał, wytarł, osuszył, słowem dopro-

wadził do stanu używalności. Owa dama z wdzięczności oddała go swym uczuciem, które było równie gorące, co zachłanne. Jak już powiedziałem, znajomy mojego współtowarzysza podróży był prawdziwym dzentelmenem. Po jakimś czasie ożenił się z wyłożoną przez siebie niewiastą, a po trzech latach pojęcia małżeńskiego utopił ją w wannie, gdy ta brała poranną kąpiel i oddał się w ręce policji. W sądzie tłumaczył: przez cały czas naszego pożycia widziałem w jej oczach odzwierciedlającą się wdzięczność za to, że uratowałem jej życie i pragnienie, abym jej to życie ratował bez przerwy. Sąd orzekł bardzo niski wymiar kary.

Oglądałem kiedyś, niewielki obraz Furtenagela. Portret małżonków Burgmair — malowany w pierwszej połowie XVI wieku. Dwoje starych ludzi patrzy w wypukłe zwierciadło i widzi w nim dwie trupeczaszki. Na obrazie jest napis: Taki był kształt nas obojga, ale w zwierciadło tylko tyle.

Z listu Michała Anioła do papieża Leona X: „Czuję się na siłach wykonać fasadę kościoła San Lorenzo tak, że stanie się ona zwierciadłem architektury i rzeźby dla całych Włoch”.

Na sztychu Goyi stara wiedźma mizdrzy się przed lustrem. „Dziś ostatniego tchu — Hasta la muerte!”

Mieczysław Wallis w „Dziejach zwierciadła”, książki, która powstała jako dzieło pochodne jego prac nad autopoietem w sztuce, pisze: „W życiu potoczny myślimy o zwierciadle niemal tylko jako o przyborze pomagającym człowiekowi w pielęgnowaniu i upiększaniu swego wyglądu. Lustro jest jednak nie tylko środkiem pomocniczym w zabiegach higieniczno-kosmetycznych, lecz również, środkiem poznania samego siebie. Zwierciadło gra doniosłą rolę w wielu dziedzinach kultury: w sztuce, w technice, nauce. Zwierciadło jest od czasów najdawniejszych nieocenionym narzędziem pracy malarza, aktora i mówcy. W wielu krajach i epokach — w Egipcie i Chinach, w Grecji i Rzymie, we Francji i Italii — czyniono nieraz ze zwierciadła skończony dzieło sztuki.



LOS SZCZĘŚCIA

E. R. Braithwaite jest pierwszym kolorowym inspektorem do spraw o pieki nad dzieckiem w Radzie Miasta Londynu i nauczycielem jednej ze szkół w dzielnicy wschodniej.

Doświadczenia pracy zawodowej niewątpliwie bardzo mu pomogły przy pisaniu „Losu szczęścia”, ciekawej i niekonwencjonalnej próbie spojrzenia na problem rasowy.

Bohater powieści — Jack Bennett usiłuje odwrócić wydarzenia jakie rozegrały się na jednej z ulic Londynu, a w których wziął udział wraz ze swym bliźniaczym bratem — Dave'em. Konieczą się one śmiercią napastowanego przez brata Murzyna. Tej samej nocy ginie w wypadku samochodowym Dave.

Jack, głęboko wstrząśnięty zarówno śmiercią brata jak i Murzyna, postanawia zmienić się. Pomoże mu w tym miłość do pięknej kolorowej dziewczyny.

E. R. BRAITHWAITE — „Los szczęścia”, PIW 1974.

POŻEGNANIE DZIECIŃSTWA

Dość często w utworach pisarzy południowoamerykańskich przewija się jako temat motyw rewolucji w różnorodnym zresztą ujęciu.

W jednej z najwybitniejszych powieści literatury kubańskiej „Pożegnanie dzieciństwa” P. A. Fernandeza kolejne epizody walk rewolucyjnych i postaci biorące w nich udział przekształcone zostały przez autora w pewien rodzaj mitu. Udało mu się przy tym uniknąć fałszywego patosu — bohaterowie i fakty zachowują tu zwykłe codzienne wymiary jakkolwiek stale są konfrontowane z tradycjami ludowymi, religijnymi i poetyckimi symbolami.

Obok stałej obecności idei rewolucji, drugim ważnym rysem rzeczywistości kubańskiej jest cukier. Uraża on do rangi symbolu, wyrażającego dumę i nadzieję narodu. W tej tematyce powieści wplecione są wątki osobiste i ogólnoludzkie. W rezultacie powieść P. A. Fernandez jest zarówno sumą doświadczeń osobistych autora jak i próbą syntezy całości historii narodu.

PABLO ARMANDO FERNANDEZ — „Pożegnanie dzieciństwa”, Wydawnictwo Literackie 1973

TRAGEDIA PUŁKOWNIKA

Pisarstwo jednego z najwybitniejszych i najsłynniejszych pisarzy Ameryki Łacińskiej, Kolumbijskiego Gabriela Garcíi Marqueza, charakteryzuje się bogactwem i różnorodnością wątków. Daje się to zauważyć zarówno w jego powieściach, jak i opowiadaniach. To ostatnie sprawiają wrażenie, że są fragmentami lub rozdziałami nie umieszczonymi w powieściach. Taki charakter ma również opowiadanie „Nie ma kto pisać do pułkownika”, którego bohaterem jest siedemdziesięcioletni pułkownik, znajdujący się w skrajnej nędzy. W latach młodości brał udział w wojnie domowej po stronie rewolucjonistów i mimo wielu zmian jakie wokół niego zaszły, nadal wierzy w słusność sprawy, o którą walczył. Celem jego życia stało się czekanie na rene, przyniesioną za dawne zasługi. Pełen prostoty wrażeń, wprost wznoszący w swoją naiwność czeka jednak nadaremnie przysługując dramat zapomnianego i samotnego człowieka.

GABRIEL GARCÍA MARQUEZ — „Nie ma kto pisać do pułkownika”, Wydawnictwo Literackie.

TYRAN BANDERAS

Jedno z arcydzieł literatury hiszpańskiej — powieść Ramona del Valle-Inclana powstała, gdy autor był już człowiekiem sześćdziesięcioletnim i miał za sobą bogate przeżycia zarówno w rodzimym kraju, jak i w Ameryce Południowej, w której często przebywał.

To zapewne zadecydowało, iż akcje powieści „Tyrana Banderas” umieszczył w bliżej nieokreślonej podwójnie wyidealizowanej bilansie tego regionu. Rozgrywa się ona w ciągu kilkudziesięciu godzin, gdy siły rewolucyjne, głównie zdetonowani Indianie, doprowadzają do obalenia znielubianego tyra. Całość rozpada się w szereg scen i epizodów, w których autor z niezrównanym mistrzostwem słowa kreśli sylwetki głównych bohaterów dramatu.

Stosuje tu zresztą swolista technikę — postacie przesuwają się jak marionetki na tle kurtyny. A ich cechy zewnętrzne są częstokroć ważniejsze od wypowiedzi.

ROMAN DEL VALLE-INCLAN — „Tyrana Banderas”, Wydawnictwo Literackie 1973.

PAPIRUSOWĄ ŁODZIĄ PRZEZ ATLANTYK

Do najsłynniejszych wypraw morskich należy niewątpliwie ekspedycja „Kon — Tiki” na tratwie z pni balijskiej. Jej organizator i przywódca Thor Heyerdahl nie poprzestął jednak na tym.

Zwrócił uwagę na duże podobieństwo łodzi trzcinowych w dawnym Peru i w dawnym Egipcie. Tak narodził się pomysł przepłynięcia taką łodzią Atlantyku. Rozpoczęły się intensywne przygotowania.

Heyerdahl udał się do Egiptu, gdzie znalazł odpowiedni materiał do budowy łodzi.

Po pokonaniu rozlicznych przeszkód, nazwana na cześć boga słońca Ra papiusowa łódź spłynęła na morze w marokańskim porcie Safi.

Relacja z tej wyprawy wzbogacona bogatym materiałem zdjęciowym, ukazała się ostatnio nakładem Iskier w serii „Naokoło świata”.

A. N.

THOR HEYERDAHL — „Ekspedycja Ra”.

WARTO PRZECZYTAĆ

STEFAN ZEROMSKI „Dzienników tom odnaleziony”, Czytelnik, cena 40 zł

Współczesna teoria badań literackich za granicą, Wyd. Literackie, cena 70 zł

KARL DEDECIUS „Polacy i Niemcy”, Wyd. Literackie, cena 35 zł

ZESZYTY KIELECKIE, Wyd. Łódzkie, cena 16 zł

JAN GERHARD „Charles de Gaulle”, PIW, cena 100 zł

CONAN DOYLE „Harpun Czarnego Piotra”, Wyd. Poznańskie, cena 14 zł

ADAM KOTŁA „Sztuka abstrakcyjna”, WAIF, cena 30 zł

ANDRZEJ KORNIK „Kto się bał Stefana Szaleja”, Czytelnik, cena 15 zł

FILM POSZUKUJĄCY DROGI

„CIEMNA RZKA”, film zrealizowany przez Sylwestra Szyszkę na motywach powieści Jerzego Grzymkowskiego, przywołuje pamięć lat i problemów, które w polskiej kinematografii pojawiały się stosunkowo rzadko. Inna sprawa, że właśnie powrotem do nich zawdzięczamy dwa tak przejmujące obrazy historycznych i politycznych konfliktów i przeobrażeń pierwszych powojennych dni i lat, jak te, które zawarł w „Popiele i diamentach” Andrzej Wajda, a później w filmie „Słońce wschodził raz na dzień” Henryk Kluba.

Akcja „Ciemnej rzeki” toczy się tuż po wyzwoleniu w wiosce na Lubelszczyźnie, tam, gdzie rozdzieliły się zasady nowej państwowości, gdzie władza ludowa stawała w obliczu problemów, które niosły nie tylko przeobrażenia polityczne, ale również zastana świadomość obywateli państwa, do którego ludowym było dopiero od kilku miesięcy. Ambicją twórców tego filmu było ogarnięcie złożoności konfliktów, które miały być udziałem tego czasu, toteż w „Ciemnej rzce” odnaleziona została wiele wątków istnienie ich sygnalizujących. Skupiono je wokół postaci młodego chłopca, którego poszukiwania „miejsca dla siebie” w nowej, często niezrozumiałej dlań sytuacji pełnią w całym sposobie w filmie tym swoję funkcję symboliczną.

W wywiadzie dla Filmowego Serwisu Prasowego reżyser filmu, Sylwester Szysko, powiedział, że film swój adresował głównie do młodzieży, dla której zdarzenia tamtych lat to dziś wiedza znana z podręczników, lub wspomnień starszego pokolenia. Przybliżyć i uplastycznić ten okres to cele jego filmu. I właśnie znajomość adresata, o którym reżyser mówi, zdecydowała o tym, że postać głównego bohatera „Ciemnej rzeki” została ukształtowana w sposób, który może młodej widowni okazać się bliski. Zenek wchodzi bowiem w życie dorosłe, jak jego rówieśnicy wszystkich pokoleń — nieufny, nawet zbuntowany wobec autorytetów świata dorosłych, chce prawdy dochodzić sam. Jego sprzeciw wobec bezprawia i podłości, gwałtowny i emocjonalny ma swe źródła w młodości. Proces wewnętrznej dojrzewania i poszukiwania racji słusznych jest tym trudniejszy, że odbywa się w sytuacjach, które niezwykle go komplikują. Przemiany polityczne i społeczne warunkują bowiem zarówno losy i wybory ludzi młodych, jak i dorosłych, w tym układzie młodość staje się atutem. Uczestniczy on czynnie, a stopień życiowej aktywności był w tam-

tym czasie warunkowany gwałtownością życia, w losach ludzi, którzy są wokół niego, dojrzałość uzyskuje młody bohater w sytuacjach, w których o kompromisach nie może być mowy, w których doświadczeniem staje się często ludzkie życie.

W krąg losów bohatera autorzy filmu wprowadzili zdarzenia i postaci reprezentatywne dla społecznych, politycznych i obyczajowych problemów pierwszych lat powojennej rzeczywistości. Odnajdujemy więc w filmie wątek partyzancki, wątek powojenny, wątek jej uwikłań, kiedy to dawni towarzysze walki z okupantem stawali przeciwko sobie, obrazy różnych postaw politycznych, mieszkaniec tej samej wsi, sąsiadów z sąsiadami, więcej, obrazy konfliktów w łonie jednej rodziny. Drogi wyboru i samookreślenia dokonują się więc często w sytuacjach niezwykle dramatycznych, cena bywa życie, a popelniane błędy nie zawsze są winą. Są to sprawy, do których polska literatura, film, powracają, przypominając lata, w których kształtowały się podstawy nowej ludowej państwowości, szukając rodowodów pokoleń współczesnych.

„Ciemna rzeka” Grzymkowskiego i Szyski jest przywołaniem pamięci tych spraw, potrzebnym zwłaszcza owym młodym pokoleniom. Załóżmy, że debiutujący w pełnym metrażu reżyser nie potrafił wszystkim ambitnym zamiarom sprostać. Że ładunek dramatyzmu losów ludzkich w samym artystycznym już ich ukształtowaniu rozproszył się nieco. Niektóre prowadzone wątki gdzieś po drodze zgubiono, tak

stało się na przykład z postacią wójta, dawnego działacza ruchu ludowego i partyzanta, inne sprawy znalazły znowu swe uproszczone realizacje i rozwiązania. Grzechem debiutu jest również niejednolitość stylistyczna tego filmu, jawią nam się sceny jakby przeniesione z innej opowieści, przeszkadza manierysta zwłaszcza scen lirycznych. Ciekawe obrazy obyczajowe — nie zawsze twórcą potrafił nasyć autentycznym wizerunkiem chłopskich bohaterów — wieś i jej mieszkańcy są, wbrew pozorom, niezwykle trudnym materiałem do artystycznego przetworzenia. Tak, jak to często w debiutach bywa, tak i w „Ciemnej rzce” to co własne, świeże i ciekawe, sąsiaduje z tym, co zapożyczane, bądź uproszczone. Sylwester Szysko przy pomocy również debiutującego aktora, Macieja Góraj, stworzył przede wszystkim bardzo ciekawy portret młodego bohatera. Jest on pełen wewnętrznej prawdy. Prezentacja i organizacja wątków towarzyszących, a będących dramatycznym kontekstem losów Zenka, wymagała jednak zarówno pogłębienia jak i większej dyscypliny dramatycznej i stylistycznej. Udana i przekonująca postać bohatera filmowego to mało czy dużo w czasach, gdy o potrzebie takich postaci tak wiele się mówi?

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA ZBRODNI CZWARTKOWE

Tak zwane „kryminały” stanowią stały i niezbywalny wątek kultury masowej. Jako forma twórczości popularnej odwołują się do określonych przyzwyczaję odbiorczych i fabularnych stereotypów, których repertuar, jakkolwiek dość obszerny, da się przecież wyczerpać i skafalogować. Elementem podstawowym i decydującym o gatunkowej istocie powieści kryminalnej jest zbrodnia. Motyw morderstwa funkcjonuje w kulturze masowej na zasadzie projekcji, bowiem — jak pisał Paul Valéry — „prawie wszystkie nasze pragnienia są w swej istocie zbrodnicze”.

„W powieści detektywistycznej po prostu musi być trup, i to im bardziej martwy tym lepszy” — twierdził znany autor kryminałów S.S. van Dine.

Gorliwi teoretycy powieści kryminalnej chcą widzieć jej atrybuty w greckim micie o królu Egiptu i w biblijnej powieści o Kainowej zbrodni. Już w mitologicznej przeszłości miały się zawiązać dwie podstawowe odmiany tego gatunku: powieść detektywistyczna i powieść kryminalno-sensacyjna. W detektywistycznej strzał pada na pierwszych stronach, a na dalszych główny bohater, detektyw, kombinuje jak i dlaczego do tego doszło i — najważniejsze — kto strzelił. Natomiast w powieści sensacyjno-kryminalnej odwrótnie — fabularny punkt ciężkości nie spoczywa na procesie śledztwa, lecz na samym strzelaniu. Oczywiście to dwie możliwości są modelowe i nie wykluczają możliwości pośrednich jak np. „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego, która choć należy do arcydzieł prozy światowej, spełnia także fabularne wymogi kryminalnego schematu. Sprawdzone popularność powieści kryminalnej gwarantują nie tylko mroczne instynkty ludzkiej natury. Bowiem potrze-

bie zła towarzyszy triumfującemu w końcu pragnieniu dobra. Inaczej niż w życiu. I tak w latach 1923—1933 gangsterzy popełnili w Chicago 396 morderstw, z których 88,9% nie zostało w ogóle wyjaśnionych, w 6,6% wypadków zabrakło wystarczających dowodów, w 3,5% spraw oskarżeń został uniewinniony, a w 1% uzyskano wyrok skazujący.

Ta wymowna statystyka wskazuje, że powieść kryminalna idealizuje przestępcę rzeczywistego. Dzieje się tak dlatego, że świat kryminalny fikcji jest skonstruowany według misternej logiki przyczynowo-skutkowej, podczas gdy rzeczywistość realna jest chaotyczna i powikłana, pełna niejasności i zagadek dło końca nie ujawnionych.

Elementarna przyjemność płynąca z lektury powieści kryminalnej w wersji detektywistycznej rodzi się ze skomplikowanej gry, którą prowadzi narrator z czytelnikiem. Przypomina to umysłowe kombinacje nad rozwiązywaniem krzyżówek, rebusów i szarad. Dedukcyjny wysiłek czytelnika zdaje się uchylać zarzuty bezrefleksyjności i problemowej łatwizny kierowane pod adresem literatury kryminalnej, a szerzej — całej kultury masowej. Ale przecież aktywność ta jest pozorną, gdyż nie mierzy się z problematyką proponującą dylematy myślowe natury społecznej, moralnej i filozoficznej, lecz posuwa się meandryczną, trafiającą do szczegółów śledztwa. Receptura gatunku zakłada, iż opisane przesłanki zebrane w toku śledztwa muszą postawić odbiorcę w sytuacji detektywa; ich możliwości poznawcze winny być identyczne, a rozwiązania tajemnic zbrodni, które pojawiłyby się nie spodziewanie z zewnątrz jest wysoce niepożądane. Jednym z

najbardziej dramatycznych elementów powieści detektywistycznej jest moment demaskacji przestępcy. Musi on zaskakiwać absolutną niespodzianką, mimo stworzenia czytelnikowi detektywistycznej szansy. Trafny dramatycznie wybór przestępcy z podejrzanego kręgu i wyrażenie logicznie motywacji tego wyboru — oto miara technologicznej sprawności autorskiej.

Detektywistyczna penetracja, która opiera się na rozumowaniu dedukcyjnym, skrajnie racjonalizuje fabularną tkankę opowieści, niejako matematyzuje kryminalną akcję. Ta „miłość do geometrii” skutecznie zabija wszelką komplikację psychologiczną lub bardziej szczegółowy rysunek społeczno-obyczajowy. Stereotyp sytuacyjny jest w kryminałach każdorazowo wzbogacony nowym wariantem, natomiast społeczne tło i bohaterowie, którzy je zaludniają są nieodmiennie tacy sami. Jednakże akcja jest z reguły na tyle frapująca, że każde zapomnienie o umysłowej kombinacji nad podstawowe poczucie realizmu, bez którego zresztą fikcja literacka jako taka obywatela. Gorzej natomiast, gdy powieść detektywistyczna znajdzie drogę na ekran filmowy lub telewizyjny. Wówczas niedostatki realizmu wyłazą na wierzch i klują oczy swoim niezamierzonym komizmem. Film zresztą szybko zwietrzył niebezpieczeństwo i obrał drogę kryminalno-sensacyjną, która pozwalała na dynamiczną akcję (pogonię, strzelaninę, bójki) i rozwinięcie charakterystyki psychologicznej kosztem nienagannego precyzyjnego dedukcyjnego wywodu. Adaptacja telewizyjna, kierując się specyfiką teatralną opartą na dialogu przejęła model detektywistyczny z wszelkimi ograniczeniami, które szczególnie pocieszenie dają znać o sobie w telewizyjnej „Kobrze” rodzimego chowu.

W prawie każdy czwartek od wielu lat na ekranie naszej TV defiluje groteskowy korowód maneklinów, którzy odgrywają lordów, markizów, byznesmenów, lowelasów, metresy etc., wśród których podstępnie czai się czarny charakter zachowujący się jak gdyby-nigdy-nie. Zgodzimy się jednak, że te żalostne figury są dyktowane przez materiał literacki. Słowo „Kobry” raczej przypadkowe i „Jednym okiem”. Ostatnią jednak pod tytułem „Sprawa Virginii Denham” wg Patricka Quentina obejrzałem sumiennie. Pod koniec przedstawienia ze zdumieniem stwierdziłem, że nie mogę podzielić zadowolenia porucznika Tranta (Damian Damięcki), który rozszyfrował mordercę (Andrzej Kopciński). Jako widz zdecydowanie mniej inteligentny od porucznika Tranta wyraźnie nie nadążałem za błyskotliwym tokiem jego rozumowania. Powiem więcej: zdawało mi się jak gdyby jego wywód dość doволnie przekształcał pewne przesłanki, by wspomnieć o bardzo ważnym dla przebiegu akcji fakcie siostrzanego pokrewieństwa Virginii z tancerką z klubu „Maroko”, które potem z powodów nie ujawnionych przede mną a wiadomych z pewnością, sądząc po minie, porucznikowi Trantowi, stało się nieaktualne na rzecz nowej siostry czyli Dolores. Nie udało mi się porównać tej niewytłumaczalnej wolty z powieścią renomowanego autora, ale pocieszam się, że przynajmniej tam wszystko się zgadza. Ten rażący błąd adaptacyjny niweczy specyfikę kryminalnego widowiska i sprowadza ją do znanej formuły „zabili go i uciekli”.

Zakończę anegdotą. Jeden z autorów powieści kryminalnej napisał w trakcie pisania tyle intryg i wątków, powołał do życia tylu bohaterów, że sam się pogubił w powstałym galimatiasie i nie miał pojęcia jak całość zakończyć. Zrozpaczone wpadł na pomysł — wszadził wszystkich do jednego autobusu i strącił w przepaść. Można i tak.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIAŻKA NIEROZŁĄCZNI KOCHANKOWIE

Miłość i władza — nierozłączni kochankowie literatury. Wieczny temat. Samograj, umieszczony w jakiegokolwiek bądź epoce, jednako rozpalał wyobraźnię czytelnika. Jeżeli jednak poszła się kochanków i władców aż do Sumeru, należy się czytelnikowi bodaj króciutka przedmowa, gdzie i kiedy rozgrywa się losy bohaterów opowieści.

Sumer jest ostatnio modny, jak kiedyś Egipt. Jak Grecja po odkryciach niemieckiego kupca Henryka Schliemanna, nie na tyle jeszcze, aby przeciętny czytelnik, czytając „Sztylet z Dżebel El — Arak” Tadeusza Daszkiewicza, mógł się od razu zorientować, gdzie wraz z bohaterami opowiadania przebywa.

Dopiero na stronie 49 trafiam na słowo „zikurat” oznaczające wieżę świątyni w miastach — państwach sumeryjskich. To mi uprzytomnia, gdzie jestem i w jakiej epoce. Od tego momentu wiedziałam, że mam do czynienia

z liniami bogów sumeryjskich i, sięgnęłam po encyklopedię.

Fikcja literacka radzi się innymi prawami, niż na przykład proza z PIW-owskiej serii Ceram. Ta druga pełni funkcję popularno-naukową obok estetycznej. Nie powinno się czytać romansu z encyklopedią w ręku, bo to jest co najmniej zabawne. Prus w swoim „Faraonie” nie pozwala ani przez chwilę błądzić czytelnikowi. Nie każdy bowiem na encyklopedię w domu, nie każdy po nią sięgnie. Dopiero na stronie 91 przed opowiadaniem tytułowym, znajduję się krótka notka, instruująca, że sztylet znaleziony w Dżebel El — Arak pochodzi z okresu około 2800 p.n.e. Natrafiono na niego w Dolnym Egipcie w pobliżu Abydos.

Ulga ogromna, przynajmniej człowiek wie w jakiej epoce żyje i gdzie, ale zaraz dalej nie wie, bo opowiadanie znowu zaczyna się w Sumerze, a tamte nazwy brzmią obco i dziwacznie. I tak

przez stron 158, jeśli ktoś nie ma encyklopedii.

Ciekawe, że miłość w realiach Sumeru udaje się, podczas gdy we współczesnych rzadko kiedy. Kochankowie Daszkiewicza milują dla siebie i życia, umierają dla siebie i za siebie. Schodzą za sobą aż na dno piekieł, nie są w miłości kunkatorami, nie obliczają dochodów i rozchodów, nie obliczają swych kont „winien — ma”.

Rzecz tylko władczyni wyrzeka się kochanka dla szczęścia ludu, ale to prawidłowe, słusze i jakże wzruszające. Będzie więc „Sztylet z Dżebel El — Arak” czytany, zwłaszcza że jest napisany dobrane i autor włożył sporo pracy w dotarcie do realiów epoki. O miłości przecież można nieskończenie...

Jest to książka, która może być przeznaczona dla czytelnika ludowego, popularnego, tym pilniejsze jest opatrzenie jej wprowadzającym wstępem. Bo skądże ktoś ma

wiedzieć jakie to były w Sumerze „prawa me” i co to w ogóle znaczy. Zwiastuje, że słowo „me” kojarzy się natychmiast z naszym zalkiem.

Tymczasem te opowiadania dla każdego zostały wydane w 6 tysiącach egzemplarzy. Czy właśnie z braku wprowadzenia, czy z powodu tych sumeryjskich imion, miast, dzwignych bogów, sztyletów itp? One nie mają większego znaczenia, te nazwy, wobec miłości. Dodają tylko miłości tajemnicy, co jest po prostu ładne.

Redakcja książki też prosi się o korektę. Na tej stronie 49 czytamy: „Błądził za nią po łakach, wyszukując najpiękniejszych kwiatów”. Ejże, chyba „co wyszukuje”, nie zaś „czego”.

Książka otrzymała ładną okładkę. Papier, niestety, bardzo brzydki. Okładki w ogóle są jeszcze ciagle słabą stroną łódzkiej oficyny wydawniczej.

BARBARA NAWROCKA.
-DOŃSKA

Tadeusz Daszkiewicz: „Sztylet z Dżebel El — Arak”, Wydawnictwo Łódzkie 1973

MAGAZYNEK

UKŁADANKA DLA KINOMANÓW

Jeśli pewne wybrane tytuły filmowe ułożymy w określonym porządku, to z pierwszych ich liter bez trudu odczytamy nowe, śmieszne słowo. Oto jedna z możliwości: „Dom na pustkowiu”, „Układ”, „Pod dachami Paryża”, „Arabeska”. Im więcej filmów widzieliśmy, tym śmieszniejsze słowo uda nam się ułożyć.

STARY UPARCIUCH

Okazuje się, że upór nie płaci. Oto Jan Puszysty po przejściu na emeryturę, mając wreszcie więcej wolnego czasu, zapragnął stanowczo zagrać w filmie biskupa. Niestety, pan Puszysty zbyt zaufał krążącym plotkom. Mniąc niektóre fakty, uznał, że cel swój uzyska jedynie przez przespanie się z Reżyserem. Nie pomogły perswazyje przyjaciół, uparty człowiek dopiął wreszcie celu. Oczywiście jedynym rezultatem było to, że niewyspany reżyser przez cały następny dzień głośno ziewał.

CIEKAWOSTKI CENZURY FILMOWEJ

Cenzura filmowa w różnych krajach ma swoje ciekawostki. W Patagonii Wschodniej niedopuszczalne jest, by zakonniczna znęcała się nad motylem. W

Mozambiku Dolnym nie wolno na ekranie przeginać pały a w Brandyville pokazywać nurka bez skafandra. W Carbuncule pleć zwierząt może występować jedynie w dialogu, zaś w Hercegowinie gołe pośladki witane są przez cenzurę z radością.

POMYSŁOWE DZWONKI

Ciekawy pomysł przeforsowano w wiejskim kinie „OCEAN” w Żółtobrzegach. Przy każdym krześle kinowym umieszczono tam dzwoneczek z napisem „WARSZAWA”. Teraz każdy

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina”
K.I.G.

absolutnie widzi w tym kinie, będąc niezadowolony z wyświetlanego filmu, ma prawo zadzwonić sobie do stolicy, by poskarżyć się i wyzalić. O wyrobieństwie miejscowej publiczności świadczy chlubnie fakt, że do chwili obecnej nie zanotowano fałszywych dzwoneń.

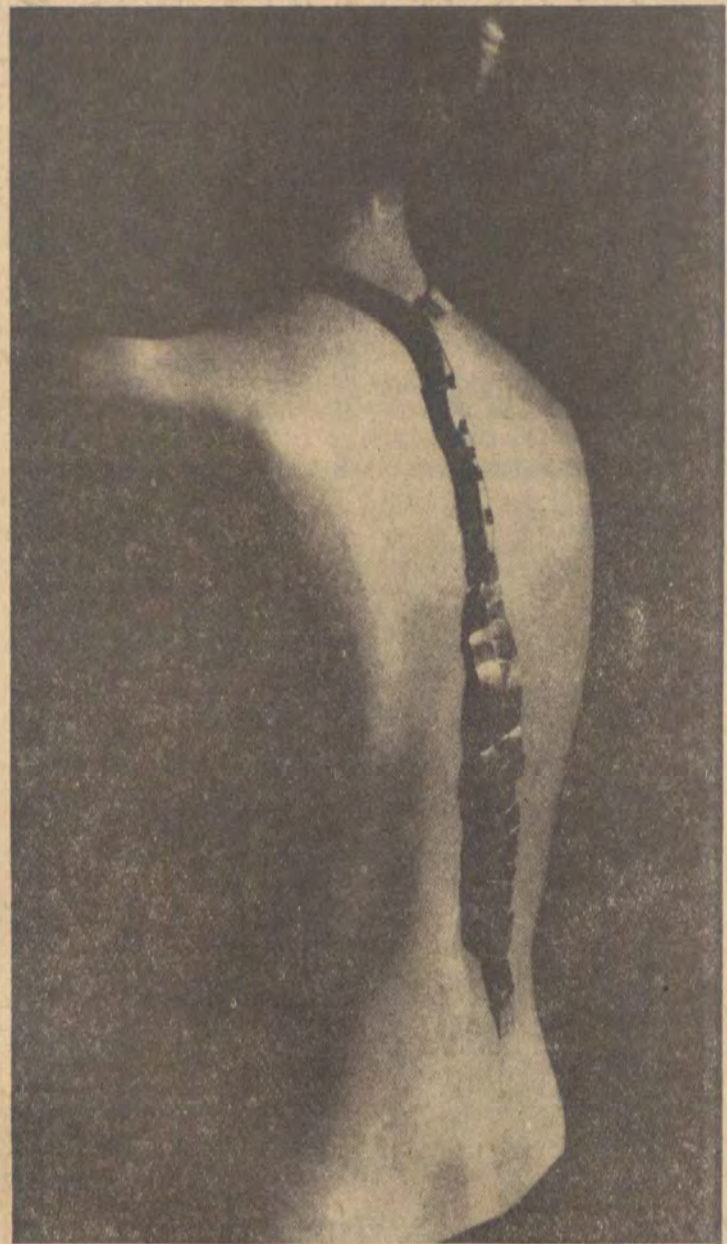
KOBIETA i POEZJA

Od prapoczątków poezji kobieta była zawsze tematem wierszy. Nawet nie można sobie wyobrazić antologii pt. „Kobieta w poezji”, ponieważ byłaby to książka gigantyczna — zawierająca mniej więcej połowę światowego dorobku poetyckiego.

Kto wie, gdyby Parys nie zakochał się w Helenie, może nie byłoby dziś homerowskiej „Iliady”. Gdyby Dante nie wzdychał do swej Beatrycze — poezja byłaby uboższa o wiele pięknych strof.

Poezja polska byłaby uboższa o ten choćby znany i piękny wiersz: Jana Lechonia:

(...) „Tyżes to, ty, mój mistrzu! Dlaczego tak błąd
I czemu taki dziwny niepokój cię żarzy?
Przychodzę cię ubłagać o sekret twej twarzy
Nic nie wiem. Zbłądziłem, i proszę twej rady”.
On to rzekł, czy rzekł księżyc, czy woda to rzekła
Padłem głową ukrywając się rękami oboma:
„Nie ma nieba ni ziemi, otchłani ni piekła.
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma”.
Ale Beatrycze — uosobienie Kobiety, Beatrycze — wszech-
obecna muza poezji — jest. Właśnie jest.
„Więc czemu nie powiedział — niech będzie ukryte
Mych listów i pamiętek niech płonie stos cały
I tylko jeszcze wytnę me serce przebite
I przy moim imieniu — twoje inicjały”.
Właściwie piękniejsza połowa dorobku światowej poezji
to tak, jak gdyby owe lechoniowskie inicjały wyrzyte obok
serca przebitego strzałą.
Prawie półtora wieku temu trzydziestoletni Adam Mickie-
wicz składał swój hold i wyznanie kobiecie — tej wiecznej
Beatrycze poetów:
„Na łodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady
I włosy mi się jeżą, kiedy się ogładam
I postać twoją widzieć lekam się i żadam”.
I minęło lat sto pięćdziesiąt, a dwudziestoletni poeta,
Rafał Wojaczek, mówił do wciąż tej samej Beatrycze:
„Jestem chłodną wyspą dla twojego ciała
które upada w noc gorącą kropłą
Mówię do ciebie tak cicho, jak przez sen
Płonie twój po na mojej skórze”.
Zmienia się poezja — mijają poeci, umierają style i kon-
wencje — jest tylko Beatrycze. Kobieta. Muza. Erato i Eu-
terpe. Nigdy nie przestaje patronować poetom i wierszom.
Jej święto jest zawsze wówczas, gdy zapala się magiczna
latarnia poezji.



Fot. W. Parys

SEX W LITERATURZE

JOSEPH KESSEL

JEŹDZCY

Lekkim krokiem Zere pokonała przestrzeń, która dzieliła ją od czopendoza. Patrząc, jak zbliżała się, Uroz zrozumiał nagle, dlaczego pragnął jej obecności. Jak długo tu stała, ich podróz trwała jeszcze i wydawało mu się, że wraz z nią jest w juncie cmentarza koczowniców i przelecz o śliskich skałach, wśród których hulał wiatr, i tęcza wód jeziora Band-i-Amiru.

Ażby zatrzymać Zere nie tracąc godności, Uroz zadał jej pytanie pierwsze, jakie przyszło mu do głowy.

— Widziałeś koczowniczkę?

— Tak — odpowiedziała koczowniczka.

— I cóż? — zapytał Uroz.

— Nienawidzę go — odrzekła Zere. — On się jeszcze nie umył. Chodzi ze swymi wielkimi rękami wiszącymi jak polamane cepy. Spojrzenie ma puste. Ułaskawiłeś go, dałeś mu konia... Ale nie ma w nim już radości ani uśmiechu. Nienawidzę go.

— Dlaczegoż więc pragniesz go wtedy, gdy był silny?

Postawa koczowniczkę uległa dziwnej zmianie. Opadła, cofnęła się z ręką podniesioną do oczu, jak gdyby chciała się obronić przed obrazami nie do zniesienia. Obrazami swej miłości zmarnowanej, chybionej. Miłości, która teraz przy dumnej piękności Uroza, przy bogactwie jego stroju i luksusie starego mongolskiego namiotu wydawała się niedźwiedź i wstrętna. Po raz pierwszy w życiu Zere wstydziała się swego ciała.

— To był zły czar — odpowiedziała ledwo dosłyszalnym szeptem. — Nie wiem...

Nie miała siły mówić dalej. Oddychała z trudem. Piers jej falowała. Jej brunatna skóra zarożowiła się od zagęszczenia pomiędzy piersiami po koniuszki uszu. Ten rumieniec przydał wdzięku i niewinności jej sztył pochylonej nad jasną tkaniną zdobną grubym haftem.

SEX W LITERATURZE

Nowa sukienka kupiona za pokątne oszczędności, nagły wstyd Zere, delikatność świeżo umytego czystego ciała, jej spojrzenie gorące i nieśmiało zarazem sprawiły, że Uroz pomyślał: „Można by sądzić, że to dziewczyna”. I zanim zdał sobie z tego sprawę, wersy Saadiego zabrzmiły w jego pamięci.

Wtedy głód seksualny uzdrowionego ciała, pragnienie, by posiadać wraz z koczowniczką najpiękniejszą treść wielkiej przygody, podświadoma i uporczywa potrzeba zbrukania i katowania niedostępnych dziewcząt — wszystko to połączyło się w Urozie w dzikim jakimś pożądaniu. Podał Zere z ręką.

Po chwili leżała już na jego łóżu. Jeszcze chwila i jej nowa sukienka była w strzępach. Uroz rozdzierał koczowniczkę z gwałtownością zabójcy, który wbił sztylet w ramię ofiary.

Z bólu i zaskoczenia Zere wydała ostry krzyk. Wilecy grymas wykrzywił usta Uroza. „Krzyż! Krzyż!” — mówił z zamkniętymi ustami. — Krzyż, jesteś dopiero na progu twojej meki!”

I od tej chwili jego ręce i biodra czopendoza, jego zęby nawykłe do łamania wielkich kości baranich, jego paznokcie potrafiące wyrwać i jak szponami trzymać bezgłowego kozła, służyły namiętności i szalowi, które wreszcie mógł zaspokoić. Był już tylko kałem pijanym cierpieniami, którymi szafował i które wymyślał. Miał teraz pełną moc czynienia zła. Mógł do woli niszczyć, rwać w strzępy, do krwi, skromność, czystość i wstydlivość. Mógł je upadlać, jak tylko zapragnął. Mógł zadać temu ciału wszelkie cierpienia, mógł je zbieszczyć. I w ten sposób nasyć i zaspokoić każde włókno swego ciała, odczuwając wciąż większą rozkosz. Okrucieństwem swym chciał spolegować ją, by przekroczyła ludzką miarę.

Zere nie przestawała krzyżeć. Z każdym jej jękiem Uroz czuł, jak przenika go jeszcze gwałtowniejsza fala wściekłości i rozkoszy. Szukał i znajdował coraz okrutniejsze cierpienie. I tak dawał się nieść, spadając w przepaść i wznosząc się na szczyty, z konwulsyjnie zaciśniętymi powiekami, starając się nie stracić nic ze swego piekielnego raju pełnego mroku i płomieni.

Umysł jego igrał z tymi czarnymi mocami i stopniowo je wyczerpywał. Nie wystarczyło mu już rozkoszować się krzykiem upokorzenia i bólu. Zapragnął nasyć nimi oczy. Otworzył je i zbliżył do twarzy Zere. Najpierw poczuł zadowolenie. Te usta otwarte, rozdarłe wyciem... Tęga pragnął. Ale jego nasywienie nie trwało dłużej niż chwilę. Dlaczego w jej twarzy, która zwrócona ku niemu rosła i potężniała, żaden grymas nie potwierdzał tego cierpienia? Dlaczego twarz ta rozjaśniona była wewnętrznym światłem, które rzuciło jakiś czar na jej polleki, skronie i czoło? Dlaczego jej skóra stawała się piękniejsza, coraz bardziej napięta, drżąca ze szczęścia? Skąd brał się w tej twarzy wyraz świętego szaleństwa? Dlaczego spojrzenie jej mała błogość?

Nieustający krzyk Zere nabrał nagle dla Uroza innego sensu. Rozpoznał szal brzmiały w tym głosie. Takie same tony, tylko jeszcze silniejsze, jeszcze bardziej zapamiętałe niż te, które Mokchi wydobywał z Zere przy ognisku, nocą, w obozowisku małych koczowniców.

SEX W LITERATURZE

To było dla Uroza nie do zniesienia. Nikt jeszcze nigdy tak go nie oszukiwał, nie wykił. To, co było śpiewem rozkoszy, wiał za krzyk cierpienia. Chciał zadać mękę dziewczynie, a tymczasem dawał rozkosz bezwzględnej dziewczynie.

Płana ubiegła kacił jego warg. Szukał teraz najwrażliwszego miejsca na tym ciele zdanym na jego łaskę. Znalazł bruzdę, którą wzdłuż piersi pozostawiło uderzenie szpicruty Hajatala tamburzysty. Pokrywała ją skóra świeża i delikatna. Uroz wbił paznokcie i orzał nim aż do końca blizny. Brzuch Zere podurwał się w górę, podniósł Uroza. Usta jej były już tylko zięjącą, torturowaną jamą. Ale krzyk, który wydała, choć ostrzejszy i mocniejszy od wszystkich poprzednich, przewyższał je równie szaleństwem.

Uroz chwycił czer jedną ręką za włosy, drugą za gardło, uderzył jej głową o ziemię i krzyknął:

— Czy nie czujesz bólu?!

— Konam z bólu — wybelkotała koczowniczka.

Uśmiech pełen ekstazy, który na chwilę połączył jej wargi, próbował — jak to możliwe? — powiedzieć Urozowi: „O jeźdźce zrodzony z błota, gorączki i ropy, ty, który pokonałeś trądziki, psy i straszliwe góry! O panie z tego pałacu, panie w jedwabiach! Jesteś moim księciem! Bij, gryz i zdieraj ze mnie skórę! Im ty więcej znajdziesz w tym rozkoszy, tym większa będzie i moja!”

Mysząc tak, koczowniczka upojona niewolą oddawała się bez reszty swemu półbogowi, by wzmoć jego dziką rozkosz. A Uroz, który nie mógł pojąć, że chciała tak blisko spleść, nosząc w sobie znaki przezwycięstwa, zadowolił barbarzyństwem. Ale mógł jedynie podnieść, rozpalć i jeszcze pełniej nasyć to ciało, które torturował. „Ona bierze teraz odwet za wszystkie swoje klęski. Tylko śmierć może przerwać jej triumf nade mną” — pomyślał.

Palce Uroza zacisnęły się wokół szyi koczowniczkę, ale nagle jego kark i krzyż przeniknął ból podobny do palącego żądla. Jego ciało zaspokoione i osłabłe oderwało się od Zere. Trwał tak jeszcze chwilę nie nie myśląc i nie nie czując. Później usłyszał oddech, równy, sześcieliwy. Nie ruszył się, tylko szeptem, w którym była wsiekleła groźba i błaganie, powiedział:

— Idź precz! Szybko!

Zere opuściła jurte, tym razem również cofając się tyłem. Ale ponad ciałem, obnażonym i poszarpanym, głowę trzymała wysoko jak królowa.

(Fragment)

Tłumaczyli: Danuta Knyś-Rudka i Konrad Eberhardt

Joseph Kessel, współczesny pisarz francuski — członek Akademii Francuskiej. Niedawno na ekranach oglądaliśmy ekranizację „Jeźdźców” w reżyserii Johna Frankenheima z Omarem Sharifem w roli Uroza.

i cieszyć się będzie tylko z upominków

KUPIONYCH w SKLEPACH

ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA TEKSTYLNO-ODZIEŻOWEGO

DZIEWIARSTWO, GALANTERIA, TKANINY

TO PREZENT ZAWSZE MILE WIDZIANY

ZAPRASZA